

## W NUMERZE:

### Zaproszenie do dyskusji

Niepokojącym rysem naszej kultury w ostatnich latach jest to, że ucieka ona od wszelkich bardziej zdecydowanych hierarchizacji, że unika wyraźniejszych wartościowań. Ze zbyt wiele robi się w niej z filantropii, lub obawy przed skrzywdzeniem, bądź naruszeniem utrwalanych nieraz siłą stereotypu autorytetów.

(TOMASZ SOLDENHOFF)

### Moje 35-lecie

Ojciec, uważający się za człowieka interesu, miał w sobie więcej z chłopca niż z mieszczucha. Kupił na Julianowie drewniak, wynajął na rogu Killińskiego i Nawrot sklepu masarski, a pozostałe pieniądze ulokował w kamienicy w Bydgoszczy. Nigdy jej nie widział i równie anonimowo wyżył się jej, nim minister skarbu, Władysław Grabski uzdrowił złotówkę.

(MICHAŁ KUNA)

### Co boli soltysa

Wiem, kto śpi dłużej, a kto wcześniej wstaje. Kto może coś zrobić, a kto nie może. Staruszek idzie w żniwa po maszynę do SKR, a tam mówią: „Już jedziemy”. Mijają trzy dni i nie ma nikogo. Wtedy idę ja i załatwiam, bo starym należy się usługa w pierwszej kolejności.

(WŁADYSŁAW TRELA  
W ROZMOWIE Z RYSZARDEM  
BINKOWSKIM)

### Trwa wojna o „Venus”

„Może Pan nie będzie zachwycony tym, co zrobiłam, ale jeśli Panu nie jest obojętna ludzka krzywda, na pewno Pan mnie nie potępi i spełni moje życzenie, żeby kobiety mogły oglądać gołe ciała mężczyzn na równych prawach...”

(EUGENIUSZ IWANICKI)

### PONADTO:

■ Pamiętnik skandaliczny ■ Załącznik ■ W okolicy UN ■ Literatura ■ Felietony ■ Polityka i wiele innych atrakcyjnych artykułów



„Tam, gdzie dwulicowość narusza normy współzycia i sprawiedliwości zawsze jest poważna”.

Foto: W. Parys

# odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 48 (1047) ROK XXII

2 GRUDNIA 1979 R.

CENA 3 ZŁ

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## WIDZEW

— Patrzy pan jak to się zmienia — powiedział jeden z moich rozmówców. — Niedługo na Retknie będzie mieszkać tyle ludzi, ile dawniej mieszkało na Widzewie. A i Widzew dziś już nie ten.

Załączam do starych roczników statystycznych: „Rocznik statystyczny miasta Łodzi 1978” podaje, że w 1970 roku na Widzewie mieszkało 77,9 tysiąca osób, w 1971 — 82,6 tys., a w 1972 roku ludność Widzewa liczyła już 86,2 tysiąca.

„Rocznik statystyczny województwa łódzkiego 1978” podaje, że w 1978 roku Widzew miał 91.205 mieszkańców.

Akurat ukazał się nowy rocznik — „Rocznik statystyczny województwa łódzkiego 1979”. Sięgam więc po ostatnie oficjalne dane i znajduję tam, że pod koniec 1978 roku mieszkało w dzielnicy Widzew 135,3 tys. ludzi.

Ala to nie koniec. Zbliża się grudzień 1979 roku. Coś się przez ten rok działo na Widzewie. Stawiano nowe domy. Musiała się zmieniać i liczba ludności. Sięgam więc do danych przygotowywanych na widzewską konferencję dzielnicową PZPR i znajduję, że Widzew liczy dziś około 115 tysięcy mieszkańców.

Podsumujmy. W ciągu 9 lat ludność Widzewa wzrosła o 37 tysięcy. Nieprzypadkowo przecież. Tylko w ostatnich dwóch latach stan posiadania Widzewa zwiększył się o 4452 mieszkańca. Buduje się nowa, duża dzielnica Widzew Wschód.

Nie tak dawno Widzew był wsią. Częściowo włączono go do Łodzi w 1906 roku, całkowicie w 1915. Była to już wtedy dzielnica fabryczna, robotnicza.

„Ojciec mój, Franciszek — wspomina Bronisława Switonik — był robotnikiem w dawniejszych zakładach Scheiblera i Grohmanna. W tych samych zakładach pracowała również moja matka. Rodzice pracowali po 12 godzin dziennie, aby wyżywić rodzinę składającą się z 11 osób. Mieszkaliśmy w jednoizbowym mieszkaniu o powierzchni 11 metrów kwadratowych.”

A oto fragment wspomnień Józefa Madejczyka: „Mato pamiętam z dzieciństwa, wiem tylko, że gdy ukończyłem 11 lat, przenieśliśmy się do Łodzi i zamieszkaliśmy na Widzewie. Ponieważ wtedy chłopiec w moim wieku nadawał się już na robotnika, poszedłem pracować do fabryki Heinza i Kunitzera jako pomocnik w przędzalni. Zarabiałem tygodniowo 1 rubla 7 kopiejek, co dobrze pamiętam, gdyż „końcówkę” miałem dla siebie na drobne wydatki. Po dwóch latach spędzonych u Heinza i Kunitzera zlikwidowano moją zmianę i zostałem zwolniony.”

Na Widzewie kształtowała się robotnicza tradycja Łodzi. Stał ruzsano do walki. Na Wodnym Rynku wiecowano i bawiono się. Tu budowano barykady i strajko-



Foto: A. Waack

Dalszy ciąg na str. 3

— Za swą ostatnią powieść „Koniec wakacji”, której fragmenty drukowaliśmy w „Odgłosach”, otrzymał pan w tym roku Nagrodę Ministra Obrony Narodowej. Przypomnę, że wyróżnienie to spotyka pana już po raz trzeci. Akcja większości pana powieści i opowiadań rozgrywa się w ostatniej fazie drugiej wojny światowej lub bezpośrednio po jej zakończeniu, kiedy tła się jeszcze ogniska konfliktów zbrojnych o podłożu politycznym. W tym nurcie mieszczą się także książki, jak „Bój”, „Szósta bateria”, „Opowiadania”, „Lato po wojnie”, „Nagrody i odznaczenia”, „Los i łut szczęścia”, „Wrócić do siebie”, natomiast inne, jak „Wy-padek”, czy „Ikony”, opisują rzeczywistość współczesną. Na tym tle „Koniec wakacji”, przynależąc do nurtu „wojennego”, zajmuje pozycję odrębną. Nie chodzi mi tu tylko o rozszerzenie w tym utworze tradycyjnego obszaru pana obserwacji na dni poprzedzające wybuch wojny, ale przede wszystkim o pojawienie się głębszej perspektywy historycznej, odsłaniającej sprawy chyba bliższe doświadczeniom osobistym, związane z rodowodem i kulturą środowiska. Dotychczas mało pan o tym pisze, a przecież są autorzy, którzy wciąż powracają do dzieciństwa, domu rodzinnego, szkoły, młodzieńczych przeżyć...

— „Koniec wakacji”, to jest powieść galicyjska. Tak ją nazywam w swoim umownym języku. Jedną z warstw tej powieści odzwierciedla układy charakterystyczne dla obyczajowości znanej mi z okresu mojej młodości. Jestem Natione Polonus, gente Ruthenus. Urodziłem się we Lwowie w samym centrum miasta i moja rodzina mieszkała tam do 1932 roku. Mój ojciec był z wykształcenia prawnikiem, a za-

rodzina typowo inteligentka. Przesmakowaliśmy lata wielkiego kryzysu w bardzo drastyczny sposób, bo nadprodukcja inteligencji polskiej sprawiała, że sytuacja człowieka skazanego na zarobkowanie w tym okresie była zupełnie rozpaczliwa. Nie była to bynajmniej taka idylla, jak u mego bohatera.

Jeśli zaś chodzi o szkołę, to zostawiła mi ona szczególne wspomnienia. W I Gimnazjum we

korzystał z jakichkolwiek przywilejów, nie było mowy. Jak pewnego razu wysoko postawiony tatusz jednego z uczniów przysłał swego syna samochodem do szkoły, gdyż obawiał się, że chłopak się spóźni, to na pierwszą lekcję przyszedł dyrektor gimnazjum i powiedział: „Wstań, zapakuj swoje rzeczy, idź do domu i powiedz ojcu, że jeśli jeszcze raz taka sprawa będzie, to będziesz musiał przenieść się do in-

## POD PRESĄ HISTORII

rozmowa z Wacławem Bilinskim

Lwowie miałem różnych nauczycieli, m. in. matematyki uczył mnie sam prof. Stefan Banach, ale był za wielkim uczonym na to, aby mnie czegoś nauczyć, natomiast nasz wykładowca języka niemieckiego prof. Sandel potrafił tak interpretować teksty podręczników, na ogół bezkrytycznych wobec Niemiec hitlerowskich, że dla młodzieży interesującej się polityką, lekcje te stwarzały okazje do bardzo istotnych przemyśleń. Sandel, który był Żydem, zginął później w Piaskach Janowskich.

Notabene muszę panu powiedzieć, że demokratyzm polskiej szkoły przed wojną to jest historia, o której można opowiadać godzinami. To były rzeczywiście bardzo demokratyczne szkoły. Do mojej klasy uczęszczał synowie miejscowych prominentów, ale o tym, żeby

nego gimnazjum”. Wie pan, są to jakby bajki o żelaznym wilku.

Taka była ta epoka „wakacji”, epoka, w której dochodziło i do dramatycznych spięć, jak choćby krwawe wydarzenia lwowskie w 1936 roku. Epoka, w której na świadomość ludzi silnie oddziaływała tradycja, wiara w pewne zasady i wiezi, anachroniczna i beztronska. Zbliżamy się tu do metaforyki tytułu mojej ostatniej powieści.

— Właśnie. Jest to powieść o psychicznym nieprzygotowaniu do wojny. Do wojny, która brutalnie wyznaczyła kres owej epoce, jak pan mówi, „wakacji”. Przypadek opisany w książ-

Dalszy ciąg na str. 12



Dalszy ciąg ze str. 1

wano. Na całą Polskę słynną były kunitzerowskie domki. Książę Młyn uznano dziś za niepowtarzalny zabytek i myśl się jak go wykozystać dla rozwoju turystyki w Łodzi.

— Kunitzerowskie domki to już przeszłość — mówi Alojzy Dworniczak, I sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR na Widzewie. — Zostało ich jeszcze kilka, chyba z pięć, ale i te trzeba będzie rozebrać. Myślmy o tym, aby dwa takie domki zrekonstruować przy Książym Młynie. W jednym byłaby poczta, w drugim urządzałoby się wnętrza tak, jak one w przeszłości wyglądały. Niech turyści oglądają. Przydałoby się też hotel na Książym Młynie. Trzeba tam mieszkanią zmodernizować. Bardziej przystosować ten zabytek do dzisiejszych potrzeb. Ale to trochę dalsze zamierzenia. Mamy inne, bliższe, pilniejsze.

Widzew nie rzywa z przeszłością. Dumny jest ze swoich robotniczych i rewolucyjnych tradycji. W Komitecie Dzielnicowym PZPR urzędowo „Izbę pamięci”, gdzie się przechowuje dawne pamiątki i dokumenty, gdzie przychodzi młodzież szkolna, aby się bliżej zapoznać z przeszłością dzielnicy.

— Byłem na spotkaniu z harcerzami — opowiada Alojzy Dworniczak. — Mówiłem im o tym, co zrobiliśmy. Jak im to wytłumaczyć? Wytłumaczyć tylko? Albo to pamiętać. Więc powiedziałem, wyobraźcie sobie, że na Widzewie nie ma ani jednego nowego domu. Ani jednej nowej fabryki. Co zostaje? Chyba zrozumieci.

Niby wiele na Widzewie nie budowano. Poza Zarzewem, Łęczycą — Przędzalnianą i teraz

wprawdzie, kiedy piłkarze RTS Widzew awansowali do pierwszej ligi, ale przydałby się klubowi stadion z prawdziwego zdarzenia, aby robotniczy klub nie był kopuszkiem w robotniczym mieście.

— Będzie piękny stadion na Widzewie Wschodzie — mówi Alojzy Dworniczak — ale to później. Póki co szykujemy ulicę Sępią pod zaplecze klubu. Bez zaplecza klub się nie będzie rozwijał prawidłowo.

I tak to już jest. O czym by się nie mówiło na Polesiu w końcu dojdzie się do Retkini. O czym by się nie mówiło na Widzewie w końcu dojdzie się do Widzewa Wschodu. Na Retkini nawet zazdroścą Widzewowi, mówiąc, że Widzew Wschód buduje się sprawniej niż ich wielkie osiedle. Ale przecież i na Widzewie Wschodzie są kłopoty i nie wszystko od razu powstaje.

Ulica Stefana Przybyszewskiego zaczyna się przy placu Władysława Reymonta, a kończy się przy ulicy Augustów, daleko za torem. Tę ulicą można już dojechać do Widzewa Wschodu, gdyż wybudowano na niej wiadukt. Tędy można też dojechać do przemysłowej dzielnicy Dąbrowa, w części należącej do Widzewa a w części do Górnej. Na ulicy Jarosława Dąbrowskiego powstaje drugi wiadukt, który od południa ułatwi komunikację ze wschodnim zatorem. Trzeci wiadukt musi powstać na Rokicińskiej, dzięki czemu trasa „W-Z” nie tylko umożliwi wyjazd w kierunku Tomaszowa Mazowieckiego, ale połączy też trasą szybkiego ruchu Widzew Wschód z centrum miasta i dalej z Retkinią. Jeśli będzie już wiadukt w okolicy dworca Łódź-Kaliska.

— Bardzo nam ten wiadukt jest potrzebny, bo

Trzeba więc chcieć, trzeba rzetelnie ocenić swoje możliwości, a wtedy wiele można. Mamy tego przykłady.

Na Widzewie Wschodzie mieszka już prawie 35 tysięcy ludzi. Wiele tu młodych małżeństw. A jak są młode małżeństwa to wiadomo, że są i będą dzieci. Potrzebne są szkoły i wybudowano je. Jedna z nich powstała w ciągu 4 miesięcy i dwóch tygodni.

— Nawet bez większych usterek — mówi Alojzy Dworniczak. — Ale zastanówmy się przez chwilę nad tymi usterekami. Co to znaczy usterek? To coś takiego, co zrobiono źle, a co można było zrobić dobrze. Skoro coś można poprawić, to znaczy, że poprzednio spartaczono. Dlaczego nie można od razu zrobić dobrze? Tłumaczymy to budowlanym. Oni zobowiązują się szybko usunąć usterek, ale przecież nie o to chodzi. Dobrze, że usterek usunę. Dobrze, że się zobowiązali. Gdyby jednak bardziej odpowiedzialnie podeszli do swej pracy, to nie trzeba byłoby tracić czasu i siły na usuwanie tego, co spartaczono. Każdy więc musi czuć się w pełni odpowiedzialny za to, co robi.

Na Widzewie Wschodzie mieszka już prawie 35 tysięcy osób, a będzie mieszkało 44 tysiące. Dla 6 tysięcy ludzi wybuduje się domy po północnej stronie ulicy Rokicińskiej. W następnej pięcioletce rozpocznie się budowa osiedla Olechów dla około 50 tysięcy mieszkańców. Potrzebne więc są na Widzewie Wschodzie sklepy, zakłady usługowe, potrzebna jest służba zdrowia, żłobki, przedszkola.

W materiałach przygotowywanych na widzewską konferencję dzielnicową PZPR znalazłem następujące stwierdzenie:



ALOJZY DWORNICZAK: „Chcemy, żeby każdy wiedział, kto i za co odpowiada i żeby faktycznie odpowiadał”.  
Foto: L. Włodkowski

## WIDZEW: KTO I ZA CO ODPOWIADA

powstającym Widzewem Wschodem nie ma większych osiedli. Ale nowe domy stoją przeciętnie przy Szpitalnej, Kazimierza, Józefa, Konstytucyjnej. Dzięki temu nowym domom Widzew ma najlepszy w Łodzi wskaźnik liczby osób przypadających na izbę. Wynosi on 0,97. Czyli mniej niż statystyczna osoba na jedną izbę. I pod tym względem zdecydowanie przoduje.

Jeśli chodzi o obszar, to Widzew jest drugą dzielnicą Łodzi. Obejmuje 53,4 km kwadratowego. Na 1 metr kwadratowy przypadało tu w 1978 roku 1.972 osoby i pod tym względem, jak też pod względem liczby mieszkańców Widzew plasuje się na piątej pozycji wśród łódzkich dzielnic. Jest to duża dzielnica, ale słabo wyposażona. Ciąży nad nią zła przeszłość. Budowano tu fabryki i domy dla robotników. To było wszystko. Robotnicy musieli kupować w fabrycznych konsumach, po co więc byli sklepy. Wystarczyły im jakie szynki, nie trzeba było restauracji. Dziś wszystko to trzeba odrabiać, doganiać inne dzielnice. Na przykład jest na Widzewie najmniej restauracji i barów, bo tylko 20 z 1.214 mieszkańcami, co znów plasuje dzielnicę na samym końcu. Podobnie jest z liczbą miejsc w kinach. Ma ich Widzew 1.032 przy 6.542 w Śródmieściu czy 1.186 na Polesiu. Nawet pod względem liczby pracowników zatrudnionych w gospodarce społecznej zajmuje Widzew ostatnie miejsce w Łodzi. A przecież jest to znaczny ośrodek przemysłowy.

Fabryczny charakter dzielnicy ukształtowała przeszłość. Tu budował K. Scheibler, J. Heinzel i J. Kunitzer. Od Widzewa wzięła nazwę „Widzewska Manufaktura”. Tu „powstawały inne fabryki. I dziś lokuje się je na Widzewie. Im przykład Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika przy ulicy Milionowej, „Ema-Elester” w dzielnicy przemysłowej. Na Widzewie buduje się Instytut Włókienniczy „Polsport”, rozbudowywać się będzie „EC-IV” i szklarnie w Janowie.

W ostatnich 9 latach powstały na Widzewie drukarnia RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Zakłady Przemysłu Pończoszniczego „Feniks”, stacja kontenerowa PKP na Olechowie, centrum sprzedaży i obsługi „Fiata”. Fabryka Domów. To poza tymi, które już wymieniłem poprzednio.

— Ale nie tylko to powstało. „Wifama” przecież otrzymała nową odlewnię, a także zakład przędzarki. Zmodernizowano „Polmo”. Powstało Centralne Laboratorium Chłodnictwa. Modernizacja dotarła do przemysłu bawełnianego. Warto pamiętać o „Wizamecie”, który dostarcza nam żyłek do golenia. Rozbudowuje się „Anilana”, choć jej wytwórnia włókien celulozowych ciągle jeszcze zatrzyma powietrze. Ale do czasu. Coś w końcu trzeba będzie z tym zrobić. Trzeba jeszcze wspomnieć o zakładach im. J. Strzelczyka „Jotes”, „Ariadnie”, „Uniolexie”. Widzewskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego i Maja, które stanowią o potencjale gospodarczym dzielnicy.

Co wyróżnia Widzew spośród innych dzielnic? Może to się wydać dziwne, ale... rolnictwo. Bezspornie przoduje dzielnica, jeśli chodzi o powierzchni gruntów ornych. Ma ich 1.745 ha przy 5.442 ha w całej Łodzi. Warto tu może odnotować ciekawostkę, że w Śródmieściu Łodzi jest 6 ha gruntów ornych i 4 ha sadów. Poza Widzewem sporo gruntów ornych posiada Górna — 1.655 ha, Bałuty — 1.046 ha i Polesie — 990 ha. Sady na Widzew 270 ha, o 21 ha mniej niż Bałuty, i 166 ha, o 40 ha mniej od Polesia i o 2 ha więcej od Bałut. Pastwisk jest na Widzewie najwięcej — 138 ha, o 25 ha więcej od Górnej. Lasów — 73 ha. Jest też na Widzewie jedna z dwóch w Łodzi spółdzielni produkcyjna: Rolniczy Zespół Spółdzielczy im. marszałka K. Rokossowskiego w Olechowie. Druga spółdzielnia jest w Wiskitnie.

Sławę Widzewa rozstraca po kraju Robotniczy Klub Sportowy Widzew, którego bokserzy i piłkarze robią wiele, aby można było mówić i pisać o nich raz dobrze, raz gorzej. Ostatnio przyczynił się do tego wybitnie Zbigniew Boniek RTS zrosniony jest z dzielnicą bardzo silnie. Kiedy latem piłkarze Widzewa grają u siebie, ciągną na widzewski stadion całe rodziny, aby popatrzeć na piłkarskie zmagania i pokiblować swoim chłopcom. Ten stadion martwi wszakże działacze widzewskich. Powiększono go

to niejako automatycznie rozwiązuje nam centralny dla dzielnicy ciąg komunikacyjny — mówi Alojzy Dworniczak. — Dopuszczając jezdnię kończą się przy drukarni RSW i zaczyna się kiszka, wąska, blokująca ruch w kierunku Widzewa Wschodu. Powoływaliśmy teren pod drugą jezdnię, ale wszystko zależy od rozpoczęcia prac przy budowie wiaduktu.

Póki co jeździ się na Widzew Wschód ulicą Przybyszewskiego lub zatoczoną Armii Czerwonej. Na Widzewie Wschodzie przybywa jednak domów i przybywa ludzi, robi się ciasniej w tramwajach i autobusach, rosną potrzeby i wymagania mieszkańców.

— Wszystko zależy od tego, jak się podchodzi do sprawy, jakie się ma poczucie odpowiedzialności — mówi Alojzy Dworniczak. — Kiedy dyskutujemy o projekcie budowy osiedla, to wszystko jest bardzo pięknie. O wszystkim pomysłano, zaplanowano. Kiedy przychodzi do realizacji, to zaczyna się posilżyć. Komuś czegoś zabrakło, ktoś coś nie przewidział. Narosły zadania, o których nikomu się wcześniej nie śniło. Ale przecież każdy za coś odpowiada. My tu, w Komitecie, odpowiadamy za dzielnicę. Dyrektor i komitet zakładowy — za fabrykę, nacelnik — również za dzielnicę. A inni? Iż raz tak się zdarza, że ktoś pisze przez trzy dni uzasadnienie, że czegoś nie można zrobić. Nie pomyślił przez ten czas, czego mu trzeba, aby postawione przed nim zadanie wykonać. Nie. On od razu szuka argumentów, aby się usprawiedliwić, bo z góry zakłada, że nie może. Staramy się zwalczać takie postawy i dlatego w kampanii sprawozdawczej i przed VIII Zjazdem partii stawiamy sobie nacelnik zadanie: umocnić poczucie odpowiedzialności, żeby każdy wiedział, kto i za co odpowiada i żeby faktycznie odpowiadał. Przysłowie mówi, że chcieć to móc.

„Trzy pawilony w osiedlu Widzew Wschód nie to pełni zaspokajają potrzeby mieszkańców. Istniejące przekonanie, że planowane do oddania jeszcze w 1979 roku 3 pawilony powinny w znacznym stopniu rozwiązać istniejące trudności.”

Gotowy już jest na Widzewie Wschodzie ośrodek zdrowia. Wybudowano dla dzieci stanicę harcerską i teren zabaw „Krajinę baśni”. Kiedy mroz zniechęca do spacerów, a jedynym wylegiściem woda i dzieci będą mogły jeździć na łyżwach. A wszystko zrobiono w czynie społecznym. Był to czyn społeczny żalóg fabrycznych Widzewa dla młodzieży nowego osiedla.

— Żeby tylko ludzie umieli to uszanować — mówi Alojzy Dworniczak. — To też jest sprawa kształtowania odpowiedzialności i to już u najmłodszych. Ale proces formowania się poczucia, że to wszystko jest moje, więc i innym powinno służyć, nie jest taki łatwy. Starsi już się tego nauczyli, bo starsi widzą i umieją ocenić przebieg drogi. Młodzież dostaje gotowe. To jest ich, a więc uważają, że niczyje. Trzeba jednak być cierpliwym i z uporem kształtować poczucie społecznej własności. I musimy robić to wszyscy.

Granica między Widzewem a Górną przebiega doliną, którą zamieniono na park. Na północny rozłożyło się osiedle Zarzew, a na południu — Dąbrowa. W środku jest park, który zaprojektowała widzeńska młodzież, a robili wszyscy i ci z Górnej i Widzewa.

Idziemy tym parkiem od ulicy Promińskiego do Juliusza Kossaka. Oglądamy puste o tej porze roku alejki, wyschnięte brodziki, połóżki rośliny w alpinarium, opuszczone korty tenisowe.

— Trzeba jakoś ten park nazwać — mówi Alojzy Dworniczak. — Najlepiej niech o tym

zadecyduje sama młodzież. To przecież ich i dla nich. Niech się uczy gospodarowania. Zaglądamy na przygotowywane sztuczne łódwisko. Jest już agregat, montuje się aparat. — Powstaną tu kawiarnie, baseny — mówi Alojzy Dworniczak. — Ludzie będą mieli gdzie wypoczywać. Trzeba będzie jeszcze zrobić boisko dla chłopaków, żeby mieli gdzie piłkę kopać. Może się znów jakiego Boniek narodzi.

Poszliśmy też do parku przy ulicy Konstytucyjnej. Dumą Widzewa jest zbudowany tam amfiteatr. Obok jest pawilon gastronomiczny. Jest górka saneczkowa, plac zabaw, korty przy Niciarnianej, obok domu kultury „Ariadny” powstaje hala sportowa. W dali widać budujący się Szpital Kliniczny Akademii Medycznej.

Widzewiacy dumni są z czynów społecznych realizowanych na rzecz dzielnicy. W materiałach przygotowywanych na konferencję partijną podaje się, że w 1977 roku wykonano prace o wartości 31,1 mln złotych, w 1978 roku — 37,7 mln zł, a w tym roku — 40 mln złotych. Osiedle Zarzew zdobyło pierwsze miejsce w wojewódzkim i krajowym współzawodnictwie. Wśród żalóg fabryk, które najwięcej zrobiły dla dzielnicy wymienia się między innymi: Fabrykę Szliferek „Jotes”, „Wifama”, „Ema-Elester”, Kombinat Geologiczny „Północ”.

— Staramy się umacniać samorząd — mówi Alojzy Dworniczak. — Ludzie muszą się uczyć rządzenia. Uczyć się odpowiedzialności. Pilnie usłuchujemy się w potrzeby, uwagi, pretensje. Komisje kontroli Rady Narodowej, Urzędu Dzielnicowego, społeczne w odpowiedzi na sygnały otrzymywane od samorządów mieszkańców spenetrowały stan zaopatrzenia handlu, ceny, system zaopatrywania i wprowadzono dzięki temu wiele różnych usprawnień. Teraz szybciej dostarcza się do sklepów to, co utrzymuje dzielnicę. To też się liczy. Ułatwia ludziom życie.

W Komitecie Dzielnicowym PZPR Widzew umówiłem się rano. Kiedy przyszedłem Alojzy Dworniczak zalał ostatniego interesanta. Tak się jakoś utarło, że jak ktoś ma interes do sekretarza KD, to wybiera się do komitetu właśnie rano, bo wtedy sekretarz ma więcej czasu, łatwiej z nim porozmawiać. Radzono nawet, aby zaniechał tego zwyczaju, bo to przecież absorbuje, czas zabiera. Ale Alojzy Dworniczak nie zrezygnował.

— Pewnie, że to czas zabiera, absorbuje — mówi — ale jakie też korzyści przynosi. Powiedzmy, że średnio spotykam się dziennie z trzema osobami. Jeśli w roku mamy 306 dni roboczych, a od tego odejmemy 16 wolnych sobót, to zostaje nam 290 dni. Pomnożone przez trzy daje to 870 wizyt, w czasie których dowiaduję się nie tylko o tym, co ludziom dokucza, jakie mają problemy, kłopoty, ale też jak się zalać ich sprawy. Często w wyniku takiej rozmowy zwracam uwagę w urzędzie dzielnicowym, w innej instytucji na ich stosunek do ludzi.

Staramy się tworzyć cały system kontaktów z ludźmi — mówi dalej. — Sekretarze, nacelnicy byli na zebraniach grup partyjnych, chodzimy na zebrania samorządów mieszkańców, na zebrania oddziałowych organizacji partyjnych, terenowych grup partyjnych. Słuchając tego, co mówią ludzie, reagując na ich kłopoty i postulaty wpływamy na funkcjonowanie administracji, która nie zawsze najlepiej pracuje. I proszę, oto mam dane dotyczące interwencji w Komitecie. Jeśli w 1975 roku wpłynęły do nas 93 listy i było 223 interesantów, to już w dziesięciu miesiącach tego roku dostaliśmy tylko 40 listów i było 75 interesantów, nie licząc tych, którzy przychodzą do mnie. A ludzie przychodzą z bardzo różnymi sprawami, począwszy od mieszkaniowych a skończywszy na osobistych. Nie zawsze mogę pomóc, ale czasem wystarczy, że człowiekowi się poradzi, że go się wysłucha. To też się liczy.

Objechałem i obszedłem Łódź w koło. Staraliśmy się pokazać łódzkie dzielnice, ich specyfikę, to co mają dobrego, ich kłopoty, osiągnięcia, zamierzenia. Zostało już tylko centrum — Śródmieście. Najmniejsza, ale i najważniejsza dzielnica miasta. I chyba najtrudniejsza.



Na starym Książym Młynie

Fotograf W. Parys

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ODGŁOSY 3





## DZIEN JAK CO DZIEŃ

— Jest pan przedstawicielem podstawowego szczebla władzy państwowej. Obywatelowi urząd kojarzy się zazwyczaj z tabliczką na drzwiach, z telefonem na biurku i właściwą pieczętką. Telefonu pan nie ma...

— Ale są cztery we wsł Staralem się, żeby je założyli. Tabliczkę i pieczętkę jednak mam.

— I one stanowią atrybut sołtyśsowej władzy?

— Niby tak. Ale ja tę władzę czuję w rękach. Jak mam coś załatwić dla ludzi, to w gminie mnie wysłuchają, zgodzą się i pomogą. Liczą się ze mną. Ludzie też się liczą, jak coś zarządzę.

— Ludzie mówią, że jak ktoś udepnie w coś koło obory, to na szczęście. Ze zostanie sołtysem. To jest takie wielkie szczęście!

— Zartują sobie! Ale zostań sołtysem to na pewno duże wyróżnienie. A jak się jest dobrym sołtysem, to każdy uszanuje, wysłucha, pomoże. I takiego chcą zatrzymać jak najdłużej.

— Pana długo zatrzymują?

— Dwadzieścia dwa lata.

— Musiał pan dużo dobrego zrobić dla wsi.

— Zrobiło się coś niecoś. Jak rozpocząłem pierwszą kadencję, to w Woli niczego nie było. Zaczęliśmy od postawienia zlewni mleka. Nie, nie sam. Trzeba było ludzi przekonać, żeby pomogli. Zna, która teraz już nie wytrzymuje nerwowo, jak się co dzień wali do chałupy kupa narodu, też mi pomagała. Założyła Kolo Gospodyń Wiejskich i baby przyspieszyły elektryfikację, bo światła u nas nie było. Dzięki kobietom jest dzisiaj we wsi gaz z butli...

— Ale kobiety światła przecież nie zakładały...

— Chłopi wozili słupy i kopali dół. A potem, jak przeciagnięto w pobliżu rurociąg z Pilicy do Łodzi, to myśmy sobie założyli wodociąg. Ale nie za darmo! Wszystko w czynie społecznym! Kiedysmy budowali remizę, chłopi wozili kamień, materiały budowlane, kopali fundamenty, zalewali cementem stropy...

— A co w tamtym okresie było najtrudniejsze?

— Drogi. Bo Wola Rakowa, to wieś rozrzucona, są jeszcze kolonie: Folwark i Nowiny. Do wielu gospodarstw nie było dojazdu i ludzie strasznie się męczyli. Nieraz się spaliło, bo straż nie mogła podjechać. Nie było jak chorować, ani jak umrzeć. Chorego nosiło się po dwa kilometry na noszach a nieboszczyka na plecach. Połączyliśmy kolonie drogą, wysypaliśmy ją szla-

ką. Ale jak ja musiałem ludzi urabiać, jak im przemawiać do sumienia! Meczyla się, psiakrew, a drogi przez swoje pola nie chcieli puścić! Potem sami rowy pokopali i teraz sobie chwala.

— I pewnie są panu wdzięczni.

— Nie tylko za drogi. Myślę, że najlepszą sprawą, jaką osobiście załatwiłem, to było nowe „klasowanie” ziemi. U nas same płaski, od IV do VI klasy, a zaraz po wojnie nie zrobili nam klasyfikację na II, III, a nawet I klasę. To się zmieniło i podatki są niższe. Jeszcze jedna dobra rzecz, to kółko rolnicze, teraz ma tam bazę SKR z Brójcem. Zrobiliśmy kilkanaście zabaw w remizie i za dochód kupiło się pierwszy traktor.

— Pani Treła. Czy rola sołtyśsa ogranicza się do puszczania przed wieś kartki z wiadomością o szczepieniu bydła?

— Zakres obowiązków sołtyśsa jest nieograniczony. Ja na przykład organizuję zebrania wiejskie i uczestniczę w zebraniach KGW, ZSL, OSP i SKR. Bierę udział w sesjach w Urzędzie Gminy, rozprawdzam materiał siewny i sadzeniaki. Zgłaszam potrzeby konserwacji rowów, pomagam organizować demonstracje i pokazy w zakresie nowości rolniczych. Jestem pełnomocnikiem ds. kontraktacji i uczestniczę w rozliczaniu zawartych kontraktów. Zbieram podatki, składki na NFOZ, prowadzę meldunki, lustruję pola, ubezpieczam zwierzęta hodowlane, biorę udział w spisach rolnych i powszechnych. Długo by wliczać...

— I co pan z tego ma?

— Czasem dużo nerwów, a czasem zadowolenie. A na dodatek 14 zł od 1000 zł ściągniętego podatku, 15 zł od hektara zakontraktowanego żyta i 7 zł od sztuki bydła lub trzody.

— To jest dużo?

— Niewiele. A pensji nie mam. I to mnie boli. Bo chłoporobnik dostanie drugą rentę, a ja nie dostanę. Ja nie pracuję osiem godzin, tylko na okrągło przez dobę. Czasem w nocy milicja mnie budzi, żeby sprawdzić książkę meldunkową. Trzeba się napracować. Pracuję się w gruncie rzeczy honorowo, społecznie. Sołtyś musi chodzić, jak ten zegar na ścianie. Na okrągło, równo, bez zgrzytów. Czasem się szarpie, robi coś w gospodarstwie, ktoś przychodzi, trzeba rzucać rogatę i iść do łazi.

— Zatrzymajmy się przy szczegółach. Co to znaczy, że sołtyś uczestniczy w rozliczaniu z kontraktacji?

— Najpierw chodzi po domach i zawieram z rolnikami umowy kontraktacyjne na pięć lat. Dwa razy

w miesiącu odnoszę umowy do GS, tam wszystko spisują, a ja każdemu rolnikowi przynoszę do domu. Potem chodzę za rolnikami, patrząc czy wszystko rośnie i przypominam, że umowa zobowiązuje.

— A jak coś nie wyjdzie?

— Wtedy opiniuję wnioski w sprawie umorzeń w podatku i zastosowaniu ulg w kontraktacji. Jak padnie koń albo krowa, na przykład. Czasem GS nie wychodzi z planem. Przychodzą do mnie, a ja idę do takiego rolnika, który ma jakiś zapas do sprzedania i ja o tym wiem. Mówię: „Frenek, tobie pewnie by się przydało z 15 metrów węgla. Sprzedaj ty jeszcze 15 metrów żyta, a będziesz miał ten węgiel”. Udaje się...

— W ramach kontraktacji trzeba wyprodukować dobry towar...

— Toteż co trzy lata zmienia się kwalifikowany materiał siewny i sadzeniaki. Ja zajmuję się rozprawdzaniem żyta i sadzeniaków. Teraz przywieźli ziemniaki z Cen-

śca, drugi nie da. Opiekun społeczny w gminie mówi, że wniosek o zapomogę musi wystawić opiekun wiejski. Ten twierdzi, że jak baba ma trzech synów, to powinni ją utrzymać. Albo ojciec zapisał synowi gospodarstwo i nie dostaje renty. Z tą rentą to nie jest do końca pomyślane. Bo rolnik na pięć lat przed rentą musi najwięcej sprzedać państwu, a przecież wtedy on jest już za słaby, żeby dużo produkować.

— Kobiety lubią sołtyśsa?

— Na pewno! W tym roku założyłem im magiel. Ale mężczyźni też się cieszą. Kuźnię się wyremontowałem i sprowadziłem z Wiskitna kowala. Teraz kowal jest na wsi niezbędny. Nie tylko podkuwa konie. Reperuje plugi, maszyny...

— Przy organizowaniu jakiejś akcji lepiej się oprzeć na kobietach czy na mężczyznach?

— Prawie po równo. Ale z chłopami lepiej. Kobiety trochę się boją, czekają na decyzję mężów.

## CO BOLI SOŁTYŚSA

### Rozmowa z WŁADYSŁAWEM TREŁĄ, sołtysem z Woli Rakowej w gminie Brójce

trał Nasiennej z Koluśzek, więc szopa pełna worków. Widzi pan, że co rusz chłopci przynoszą puste worki.

— Naczelnik Korzeniowski twierdzi, że u niego w dniu przyjęcia interesantów poczekalnica jest pusta. I to się zgadza. To jest wyłącznie zasługa Urzędu Gminy?

— Korzeniowski to porządny naczelnik, rozumie ludzi. Ale że się do niego nie pcha, to zasługa sołtyśsa. Bo najpierw ludzie pchają się do mnie. Co mogę, to załatwiam na miejscu. Inne problemy i potrzeby przekazuję w GS i SKR, a te najważniejsze — w gminie. Bywa, że trzy razy w tygodniu jestem w gminie. Cały dzień człowiek lazi. Bo sołtyś to jest mała władza, która musi trzymać za kłamki u władzy wyższej...

— Wszystko się udaje załatwić?

— Dużo. Ale trzeba być upartym. Ostatnio w czynie społecznym utwardzono podjazd do remizy strażackiej, podjazd do szkoły, zbudowano pięć dla autobusu dowożącego dzieci do szkoły. Nie udało się poprawić zaopatrzenia sklepu spożywczego. A najgorzej jest z usługami. Brakuje części. Kosiarce stoją i sołtyś nie pomoże, trzeba brać kosa do rąk. Ostatnio zepsuła się kolumna parnikowa...

— No, właśnie! Urządza pan pokaz kisazenia zielonek i parowania ziemniaków, a potem nie ma folii albo kolumny parnikowej.

— Pokazywałeś, to dawali! Wszystko odbija się na sołtyśsie, on jest najbliższy ludzi. Czasem trzeba być ślepym i głuchym, czasem widzieć, ale nie mówić. Teraz unormowała się trochę sprawa z węglem, nie ma głoku. A materiały budowlane rozdziela się komisyjnie. Chłop pisze podanie, komisja rozpatruje. Jest większa sprawiedliwość.

— Sołectwo liczy 133 gospodarstwa i 568 mieszkańców. Zna pan wszystkich?

— U nas nie ma działek z kioskami i raz do roku przeorana ziemia. Sami stali gospodarze. Ktoś przybedzie, dziecko się urodzi, ktoś umrze — wszystko jest u mnie w książce meldunkowej. Wiosną przeglądają całą wieś. Jak nie zasiane, mówię: „Zrób coś, człowieku, nie będę z tym latał prosto do gminy”. I robi. Wiem, kto śpi dłużej, a kto wcześniej wstaje. Kto może coś zrobić, a kto nie może. Staruszek idzie w żniwa po maszynę do SKR, a tam mówią: „Już jedziemy”. Mijają trzy dni i nie ma nikogo. Wtedy idę ja i załatwiam, bo starym należy się usługa w pierwszej kolejności.

— W przyszłym roku wszystkich rolników obejmą renty i emerytury.

— U nas ziemia nie będzie leżeć odłogiem, bo są następcy. Mnie co innego boli. Są staruszki, co biadają, że nie mają opiek. Jeden syn

— Co to jest „uśmiech sołtyśsa”?

— Wiem, wiem! Tylko, że to jest trochę niesprawiedliwe, ponizające. Bo ja, na przykład, nie lubię piątków. Nie dale, jak wczoraj młody traktorzysta zapil się u nas na śmierć. Za mocno się oparł o bufet. Żeby coś załatwić, trzeba oprzeć sprawę o bufet. To jest modne, ja też nieraz wypije...

— Też pan bimbrorników?

— U nas nie ma takich.

— A jak ktoś stuknie coś w łepkę i zahandluje po cichu?

— Wie pan co? Mnie bardziej interesują ludzie. Ja nie muszę dokładnie wiedzieć, co i kiedy się komu okoci. Od tego jest weterynarz. A na wsi przy świniobiciu obowiązuje tradycja poczęstunku. Dla uszanowania tradycji jest przepis, który mówi, że gospodarz ma prawo dać sąsiadowi pięć kilo w podarunku. Jak on panu sprzeda, to pan powie, że poczęstował...

— W sprawozdaniu się pisze, że w tym roku zlikwidowano we wsi 7 strzech. U sołtyśsa została stoma na stodołę...

— Ciężkie jest życie sołtyśsa, musi świecić przykładem. A tu nie ma desek ani papy... Mam 63 lata, 6 hektarów ziemi, trzymam trzy krowy, jałowkę lub byczka, sześć świń. Nie mogę myśleć tylko o swoim gospodarstwie, ale o całej wsi. Chodzę, ludziom pomagam, a swoje na ostatku.

— W zeszłym roku sołtyś Treła został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. W tym roku otrzymał list gratulacyjny od prezydenta Miasta Łodzi, 100 tys. nagrody dla sołectwa i nagrodę indywidualną. Co pan zrobi z tymi pieniędzmi?

— Zadysponuję nimi po uzgodnieniu z gminą. Trzeba naprawić przeloty wody, zniszczone mostki, dreny i wykończyć drogę między wsiami. Te sto patyków pójdzie jak nie, bo traktorzysta, robiąc trzy kursy dziennie, bierze tysiąc złotych.

— Widzi pan następcę na urząd sołtyśsa?

— Zona mówi, że drugiego takiego głupiego się nie znajdzie.

— A następcę w gospodarstwie?

— Nie ma. W miesiąc siedzą. Wie pan, co? Ja nie zmieniam dachu na stodołę, bo zbuduję nową. Mam już zgromadzony materiał.

— Dla kogo pan będzie budował?

— To jak? Mam po sobie zostawić ruinę? Robić trzeba, dopóki się żyje. Jak by wszyscy na wsi opuścili ręce, to by nie było co jeść...

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

## MĄDRZY PO SZKODZIE?

Jem kanapkę, pijam herbatę i nagle kolejny kęs staje mi w gardle. Kątem oka widzę w tekście zamieszczonym na pierwszej stronie gazety zdanie: „W ubiegły piątek świat znajdował się na krawędzi zagłady”. Już nie jem, tylko czytam z rosnącym niedowierzaniem, dochodząc wkrótce do następnego alarmu: „PRZERAŻAJĄCA POMYLKA MOGŁA WTRĄCIĆ ŚWIAT W OTCHŁAŃ KONFLIKTU NUKLEARNEGO”!

Co to jest? — myśle — kolejna „kaczkowa dziennikarska”? Fragment powieści science-fiction? Ale nie — ten nieprawdopodobnie brzmiący tekst okazuje się relacją z wydarzenia, które w rzeczywistości miało miejsce. Oto kolejny alarm. Odwołany, na szczęście, w porę — już po starcie pierwszych amerykańskich i kanadyjskich myśliwców — a wywołany przez awarię centralnego komputera w dowództwie obrony obszaru powietrznego Ameryki Północnej.

Skończyło się dobrze — myśliwce wróciły do bazy, politycy i deputowani z partii opozycyjnych wykrzyčili swoje oburzenie, wojskowi bąknęli „przepraszam”, gazety opisały to wszystko w dramatycznym sosie... fajno jest. Mógłbym dalej wciągnąć swoją kanapkę.

Bo przecież to już było. I nie pierwszy raz dobiega nas wołanie, że my — ludzkość — stoimy ponoc „na krawędzi zagłady”. I choć nie wszystkie tego typu ostrzeżenia dostają się zaraz na łamy gazet, „bez sensu” jest przerywanie sobie z takiego powodu jedzenia i egzaltowane frustracje. To nic nie da.

— Ale siedzę ponury i zastanawiam się głośno co też robiłem w tamten piątek, czego nie zdążyłbym już zacząć i czego skończyć. Czy „TO” zaskoczyło mnie w pracy, czy też zdążyłbym może wrócić do domu, do dziecka?...

— Przeżuć, do cholery! — irytuje się znajemy. — To przecież idiotyczne. Powinieneś dawno przyswyczał wyobraźnię do tej makabreski. W końcu nasze tygodniki drukowały już parę opowiadań o nuklearnej zagładzie, wywołanej, a to przez labędzie, które zwiźdzały się radarem, jako myśliwce, czy też rakiety, a to spowodowanej przez wariata-generała, lub przez... karaluchy, które uwiły sobie gniazdko wśród tranzytatorów i kabli, robiąc gwiazdę i panikę w sztabach...

— Pamiętam — mówię bez wesołości. — Ale z wyjątkiem tych labędzi, to wszystko były tylko takie... akrobacje wyobraźni. Tym razem jednak... Wciąż zastanawiam mnie po prostu z ilu jeszcze takich pomyłek i fałszywych alarmów wyjdziemy cało. W końcu wraz z rozwojem systemów zbrojeni rośnie także prawdopodobieństwo nie tylko tego, że ktoś zechce wypróbować, czy mu ten system dobrze działa, ale i oowych nie przewidzianych awarii, „zwarę na łączach” itp. itd.

Póki co „świat żyje na stosach broni” — jak powiadają obrazowo felietoniści, a szaleńców poszukujących kluczy do atomowych arsenałów nie brakuje. Swego czasu główna była sprawa pewnego gangu, który zamierzał porwać z bazy morskiej New London w USA podwodny okręt atomowy „Trepan”, wyposażony w pociski rakietowe z głowicami nuklearnymi. Po opanowaniu okrętu i wymordowaniu 100-osobowej załogi, planowano oddać strzał rakietowy na miasto, po czym wypłynąć w morze w poszukiwaniu klienta, który chciałby kupić atomowego kolosa za jedyne 200 mln dolarów.

Smieszne — przerażające — zaplądające wyobraźnię! Być może. I kto wie czy nie znajduje się jakiś nowy Forsyth (jak ten od „Dnia Szakala” i „Psów wojny”), który na kanwie tego paranoicznego wydarzenia osnuje nową fascynującą powieść z gatunku „political-fiction”. A my, po pracy, w ciepłych bamboszach i wygodnym fotelu, słuchając mrużenia telewizora czytamy bedziemy z zapaństwem tchem ten horror ciesząc się, że światu ciagle jeszcze udaje się utrzymać w ryzach literackiej wyobraźni...

— Przy odrobinie dobrej woli i poczucia humoru (niechby nawet czarnego), można odebrać powyższe jeremiady, jako ostrzy środek na wzmożenie nadziei. Obok zaprzysięgłych panikarzy nie brakuje bowiem również ludzi twierdzących, że wraz ze wzrostem świadomości atomowego zagrożenia rośnie także ogólnoświatowa nadzieja na opamiętanie się w porę. A za tą nadzieją podają ponoc także sprawność komputerów i czujność ludzi — nie tylko tych siedzących przy atomowej klawiaturze. Myśle, że świadomość tego co nas czeka w razie uchybienia tej czujności, jest coraz lepszą gwarancją naszego wspólnego bezpieczeństwa i patrząc z tego punktu widzenia, to wszystkie takie fałszywe alarmy niezle spełniają swoją mobilizującą do baczności rolę.

Ponadto podtrzymuje mnie na duchu jeszcze jeden powód do optymizmu. Oto Charles Berlitz w swojej bardzo ciekawej książce „Trójkąt Bermudzki” twierdzi, że ludzkość parokrotnie już w ciągu swoich dziejów przekraczała (nie bez swojej winy) prógi rozmaitych kataklizmów, po których niewiele zostało z śladów aktualnie istniejących cywilizacji. Ale jeśli nawet archeolodzy nie bardzo się mogą (lub kwapią) dokołać do tych pozostalości, to warto uwierzyć na słowo, że człowiek potrafi czasem podciąć gałąź, na której siedzi. I dlatego też — wierząc w równie ludzką umiętność wyciągania wniosków — wole pozostać przy nadziei, że nie powtórzymy błędów naszych przodków, będąc po prostu mądrzejsi po ich szkodziu.

Rozmawiał:  
RYSZARD BINKOWSKI

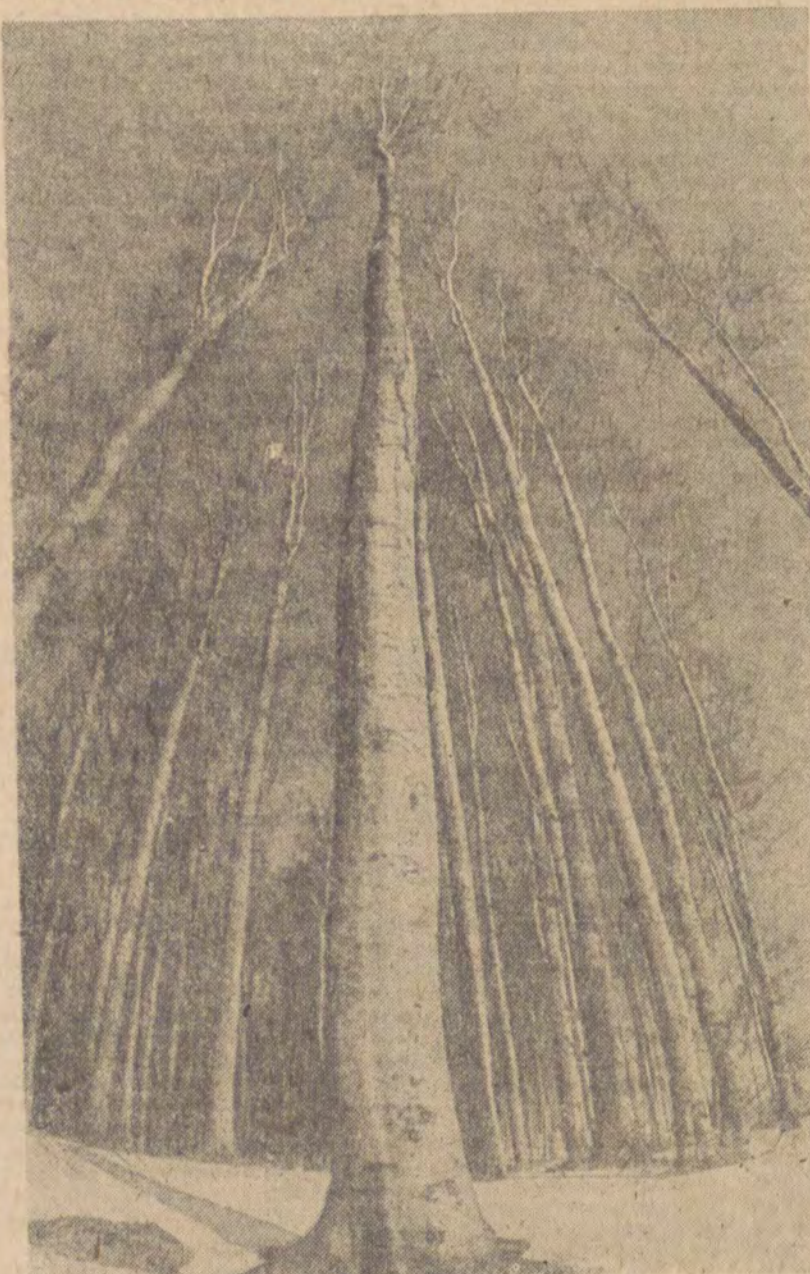


Foto: Archiwum







W tym roku konferencja rządzącej partii konserwatywnej Wielkiej Brytanii odbyła się w Blackpool, małym kurorcie na zachodnim wybrzeżu kraju. Przebieg konferencji i decyzje, które na niej zapadły wskazują, iż rząd torysów, mimo rosnącego niezadowolenia mas z jego polityki ekonomicznej, zamierza nadal rozwiązywać stojące przed nim problemy w interesie wielkiego biznesu. Ponadto konferencja w Blackpool potwierdziła, iż konserwatyści będą kontynuować politykę zwiększania zbrojeń i realizacji planów rozbudowy militarnej potencjału NATO.

Przez cztery dni „Winter Garden”, ogromny kryty kompleks teatrów, sal konferencyjnych, restauracji, barów i sal z automatami do gry był „ob-

wali Anglików do zrezygnowania z „socjalistycznego” podejścia do życia. W tłumaczeniu z języka konserwatystów oznacza to wyrzucenie się z łóżka podniesienia poziomu życia. Minister finansów, G. Howe, otwarcie groził ludziom pracy wzrostem bezrobocia, jeśli nie odrzucą żądania podwyżki płac. Okazało się tymczasem, że minister przemysłu, Keith Joseph, rozesłał do dyrektorów znacjonalizowanych gałęzi przemysłu ściśle poufną instrukcję. W kategorycznej formie zażądał w niej, żeby wysokość zarobków przy zawieraniu zbiorowej umowy o pracę ze związkami zawodowymi była mniejsza od wzrostu wskaźnika cen detalicznych.

Zredukowanie wydatków państwowych w ramach polityki

Pawłow, generalny sekretarz związku zawodowego pracowników municypalnych i niewykwalifikowanych robotników D. Bassett, zwrócił uwagę, że „pani Thatcher nie przedstawiła członkom związku zawodowego żadnych dróg rozwiązania problemów związanych się inflacji, rosnącego bezrobocia i obniżenia poziomu życia. Zamiast tego podjęto brutalny i nieuzasadniony atak na związki zawodowe”.

Opinię obrońców interesów wielkich monopolii zyskali sobie konserwatyści podczas rozpatrywania kwestii polityki zagranicznej. Konferencja zaaprobowała kurs rządu na znaczne zwiększenie budżetu wojskowego, modernizację potencjału rakietowo-jądrowego. Minister obrony, Francis Pym, zabierając głos na konferencji z całą stanowczością oświadczył, że budżet min. obrony będzie zwiększany co roku o minimum 3 procent. Nawiasem mówiąc wiadomo, iż w bieżącym roku finansowym wojskowe wydatki Wielkiej Brytanii, i bez tych obietnic ministra, osiągnęły astronomiczną sumę 10 miliardów funtów szterlingów. „Naszym celem — powiedział m.in. minister Pym — jest osiągnięcie ograniczenia zbrojeń i całkowitego ogólnego rozbrojenia”.



Pokoju Nagrodę Nobla za rok 1979 otrzymała Matka Teresa z Kalkuty. Ta sześćdziesięcioletnia zakonnica, urodzona w Jugosławii w rodzinie albańskiej, „o twarzy skulpturalnej i sposobie zachowania prostej wieśniaczki”, poświęca 18 godzin dziennie podtrzymując na duchu umierających, pielęgnując chorych i dokarmiając zgłodzonych. W kongregacji przez nią założonej pracuje w ten sam sposób 1800 zakonnice i 300 zakonników.

— Najgorszą chorobą świata nie jest trąd, tak rozpowszechnioną na kontynencie indyjskim — powiedziała Matka Teresa — ale obojętność wobec niego.

W ubiegłym roku śmiercią głodową zmarło na kuli ziemskiej 30 milionów dzieci w wieku poniżej 5 lat. 600 milionów ludzi żyje w nędzy absolutnej. Między miliardami dolarów, asygnowanymi jako pomoc przez Bank Świata, a pełną poświęcenia pracą Matki Teresy, jest wiele miejsca dla dobrej woli każdego z ludzi.

# OBLĘŻENIE W BLACKPOOL

zony” od początku do końca konferencji. Tutaj, przed głównym wejściem, odbywały się niezwykłe demonstracje i wiece, urządzone przez przeróżne organizacje młodzieżowe, związkowe, robotnicze. Ale cel każdego wiecu i każdej demonstracji był taki sam: zmanifestowanie zdecydowanego protestu przeciwko działalności konserwatywnej administracji. Tu i ówdzie władze terenowe odmawiały wykonywania zarządzeń, wynikających z ograniczenia wydatków na leczenie, mając na uwadze ciężkie następstwa takich decyzji dla ludności zamieszkującej ich rejony administracyjne. Polityki torysów nie akceptują szerokie kręgi społeczeństwa, a czym świadczą wyniki badania opinii publicznej, przeprowadzone przez londyńskie gazety „Daily Telegraph” i „Daily Mail”. Przeglądająca większość ankietowanych wypowiedziała się kategorycznie, że jest niezadowolona ze sposobu w jaki administracja torysów próbuje rozwiązać problemy okalającej inflacji, zatrudnienia i przelamania głębokiej stagnacji w przemyśle.

„twardej ekonomiki” prowadzi do zamknięcia zakładów przemysłowych, szpitali, szkół. Dopiero niedawno poinformowano o mającym nastąpić zamknięciu 13 zakładów korporacji samochodowej „British Leyland”. O podejściu konserwatystów do rozwiązania problemów ekonomicznych w kraju można sądzić po wypowiedzi jednego z ministrów gabinetu M. Thatcher. Minister ów, który poprosił o niewyświetlanie jego nazwiska, podczas prywatnego spotkania z korespondentem londyńskiej gazety „The Guardian” przyznał: „Nikt w rzeczywistości nie wie, jak to się odbija na szkołach i szpitalach (minister miał na myśli zamierzone cięcia w wydatkach państwowych — red.). Nikt nie wie, czy nie pogorszy się stan dróg do poziomu nie do przyjęcia. Nikt nie jest w stanie powiedzieć panu, czy nie umierają na tym ochrona przeciwpożarowa w szpitalach, szkołach i hotelach do tego stopnia, że zagrożone bezpieczeństwem i życiu ludzi...”

Anglicy zadają więc pytanie: kto w takim razie powinien o tym wiedzieć? Gdzie owe szeroko reklamowane cechy rządu torysów, „realizm i odpowiedzialność”?

„Dziennik „Observer” zauważa, że najbardziej brzydkie cechy torysów ujawniły się podczas debaty w sprawie reformowania ustawy związkowej, kwestii rasowych i kryzysu w Rodezji. Premier M. Thatcher zapewniała delegatów na konferencję, że jej rząd do końca bieżącego roku przyjmie ustawę antywiązkową, ograniczającą prawa ludzi pracy do strajków i pikietowania. Uzasadniała te decyzje rzekomy „strachem milionów robotników przed władzą związkową zawodowych”, która jakoby znajduje się w rękach ekstremistów. Jak donosi korespondent „Le Temps Nouveaux”, W.

W polu zainteresowania utrzymują się dwa kraje: Iran i Boliwia. Pierwszy z powodu dalszej eskalacji kryzysu w stosunkach z USA, drugi z powodu dość nieoczekiwanego finału zamachu, o którym pisaliśmy.

Dalsze okupowanie ambasady USA w Teheranie, ujawnienie przez studentów irańskich szpiegowskiej misji personelu dyplomatycznego, zapowiedź jego procesu — to najnowsze fakty po jednej stronie, po drugiej natomiast — demonstracyjna siła militarnej, czego choćby przykładem skierowanie w stronę Iranu amerykańskiego lotniskowca.

Ale pojawiły się też pogłoski o możliwości kompromisu, który miałby polegać na wyjeździe byłego szacha ze Stanów Zjednoczonych — lekarze orzekli, iż wkrótce będzie to możliwe — oraz udziału USA w międzynarodowej komisji, która rozpatrzy działalność byłego władcy Iranu — w zamian za zwolnienie personelu ambasady. W tym miejscu dodajmy, że student irański przetrzymują nadal wyłącznie mężczyzn narodowości amerykańskiej, kobiety i Murzyni. Innej narodowości zostali wypuszczeni.

Podstawą dążeń politycznych, które przyczyniły się do powstania tej grupy, jest „długość drogi przemocy”. Dodajmy, że parlament ma rozpatrzyć kroki dyscyplinarne przeciwko tym jego członkom, którzy poparli zamach. Natychmiast podlega jurysdykcji wojskowej i postępowanie karne przeciw nim będzie z pewnością otworzone tam.

Tak zakończyła się próba obalenia cywilnego prezydenta Boliwii — stary nie powrócił, ale też władza nie pozostała w rękach wojskowych.

Następny temat „Kroniki” — to zakończenie arabskiego szczytu w Tunisie, czyli konferencji szefów państw i rządów krajów członkowskich Ligi Arabskiej. W spotkaniu tym nie brał oczywiście udziału Egipt, gdyż, co przypominać, na początku br. został z Ligi wykluczony. Celem szczytu było przedyskutowanie aktualnej sytuacji bliskowschodniej, a zwłaszcza sytuacji w południowym Libanie, na który trwają ataki izraelskie.

Wszystcy uczestnicy spotkania potępił Egipt, stwierdzając, że układ, do którego on przystąpił, sprzeczny jest z interesem świata arabskiego i oddala sprawiedliwe rozwiązanie konfliktu. Zdecydowano również o pomocy finansowej dla Libanu (przeznaczonej dla uchodźców z południowej części kraju). Przyszłość OWP prawa prowadzenia walki przeciwko Izraelowi na wszystkich frontach arabskich.

Przed kolejnym, przyszłorocznym szczytem, który zbierze się w Ammanie, nastąpi spotkanie ministrów spraw zagranicznych i ds. gospodarczych. Mają oni opracować plany koordynacji polityki ekonomicznej świata arabskiego — z myślą o interesie tych narodów.

I na zakończenie o jednym z najważniejszych wydarzeń tygodnia — wizycie min. A. Gromyki w Hiszpanii i RFN.

Zwłaszcza w toku rozmów z politykami zachodniemieckimi radziecki minister podjął kwestię wysięgu zbrojeń i konieczności odprężenia militarnego. Polityczne przyniosło już odczuwalne efekty, militarne natomiast jest utrudnione forsowaniem przez państwa NATO planami produkcji nowych rodzajów broni atomowej i jej rozmieszczenia w zachodniej Europie. Urzeczywistnienie tych zamiarów musiałoby rozwinąć nowy etap współpracy i w następstwie zaostreść sytuację w Europie i na całym świecie. Alternatywą takiego rozwoju wypadków mogą być tylko rokowania — np. w oparciu o propozycje przedstawione przez L. Breżniewa w Berlinie. koncepcje, pojawiające się na Zachodzie, o równoczesności dalszych zbrojeń i rokowań są niebezpieczne, pozwalają bowiem stwarzać nowe militarne fakty, które potem trudno cofnąć.

Sprawdźmy się przewidywania, że głównym celem wizyty min. Gromyki w RFN jest przeciwdziałanie dalszej fazie wysięgu zbrojeń, do czego ZSRR tak konsekwentnie zmierza.

W. SŁAWSKI

## KRONIKA TYGODNIA

Nie wdawajmy się w przewidywania jak dalej rozwinie się sytuacja. Dotychczasowe niespodzianki z wybuchem i przebiegiem konfliktu eliminują możliwość wiarygodnych prognoz. Powtórzmy tylko to, co napisaliśmy przed tygodniem: ryzyko i pokucie nawet przy najkorzystniejszym obecnie obrocie sprawy pozostaną na dłużej.

A teraz nieco o Boliwii.

Przed kilku dniami Kongres boliwijski wybrał prezydentem republiki po raz pierwszy w dziejach kraju kobietę — Lidję Gueller, która pełniła dotychczas funkcję przewodniczącego Izby Deputowanych. Reprezentuje ona polityczne centrum, a właśnie powierzone jej stanowisko plastował będzie do sierpnia przyszłego roku, gdyż w maju mają odbyć się wybory i wyłoniony w nich prezydent zaprzysiężony zostanie w tym czasie.

Co skłoniło przywódcę puczu — płk. A. Natucha do tak rychłego opuszczenia pałacu prezydenckiego?

Spółeczna odmowa poparcia dla niego. Wojsko poniosło kompromitującą porażkę — musiało ugiąć się pod naporem cywilnych sił politycznych i ruchu związkowego. Nauka z tego jedna: „fiasko zamachu dowiodło — powiedziała pani Gueller — że społeczeństwo nie będzie już akceptować rzą-

W Leningradzie odbył się II wojna zorganizowany staraniem Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej, wieczór poezji Słowackiego i Tuwima.

W Muzeum Historycznym w Frankfurturze nad Menem otwarto wystawę „Twórczość

„Jak rozpoczęła się II wojna światowa”. Na wstępie wyświetlony został odcinek polskiego serialu w reżyserii Romana Wloneczka pt. „Przed burzą”.

W Ankonie nad Adriatykiem, która obchodzi 35 rocz-

## POLONICA KULTURALNE

artystyczna Brzezińców obozu Oświęcim-Brzezinka”.

W dorocznej ankiecie praszkiego tygodnika „Kvety” Barbara Brylska uznana została za najpopularniejszą aktorkę zagraniczną w Czechosłowacji.

Francuska telewizja nadała w cyklu „Nasta światła”, film poświęcony Warszawie, zrealizowany przez Tadeusza Makarczyńskiego.

W RFN ukazała się książka polskiego lekarza Zacheusa Pawlaka pt. „Przeżyłem”, opisywającego swe przeżycia w hitlerowskim obozie koncentracyjnym na Majdanku.

Nakładem Wydawnictwa Socjalistycznej Partii Japonii ukazała się w Tokio książka prof. dr Janusza Gołbiewskiego „Współczesna socjaldemokracja”.

W Szkocji trwał „Tydzień polski”, połączony z obchodami 15-lecia Szkocko-Polskiego Towarzystwa Kulturalnego.

W połowie listopada zakończył się w Tokio festiwal filmów polskich. Impreza powtórzona zostanie w kilku innych miastach Japonii, m. in. w Osace i Sapporo.

— Wciąż powtarzam wyborcom: „Działamy na podstawie mandatu, który wyście sami nam dali, dlatego za wszystkie nasze niepowodzenia miejcie pretensje tylko do siebie...”

„PUNCH” — Londyn

Zaraz po dojeździe do władzy konserwatyści, pod pretekstem stymulowania inicjatywy i ducha nieskrepowanej przedsiębiorczości, zabrali się do „reorientacji ekonomicznej”. Osobom prywatnym sprzedawano najbardziej dochodowe przedsiębiorstwa — znacjonalizowanego sektora gospodarki, zwaltnie zmniejszono wydatki na potrzeby socjalne, przeprowadzono reformę podatkową w interesach prywatnego kapitału. Prasa burżuazyjna szeroko popularyzuje obniżenie podatku dochodowego nazywając to posunięciem rządu niemal rewolucyjnym. Ale korzyści ciągła z tego tylko bardzo zamożne warstwy społeczeństwa. Jednocześnie torosi niemal w dwójnasób zwiększył podatki na wyroby pierwszej potrzeby i usługi, co uderzyło przede wszystkim w budżety rodzin niezamożnych.

Na konferencji członkowie rządu demagogicznie nawoły-



Kraków. Jesienne popołudnie. Chłód i słońce, które już nie grzeje. Długo błąkam się krętymi, rozkopanymi ulicami, by w końcu trafić na małą, przyzakładowy parking przy ulicy Dietla. Zamykam samochód. Zona usiłuje dowiedzieć się adresu słynnego salonu „VENUS”. Zatrzymuje żayzną, dobrze ubraną kobietę w średnim wieku.

— Do kościoła! — rozlega się nagłe piskitwy krzyk. — Do kościoła, bezwstydnico!

Moja żona usiłuje coś tłumaczyć, wskazuje na mnie, ale kobieta przytłacza ją potokiem słów, z których wynika, że jesteśmy parą zepsutych, moralnie upadłych osobników, że właśnie dzięki takim jak my młodzież nie uczy się, szwenda po ulicach, pije, łajdaczy się i grzeszy, że za naszą sprawą Bóg odwrócił się od Polski, że kraj popada w nieszczęście...

— Aleś mnie wrobił — mówi żona — Jak ja teraz wyglądam?

Z portierni zakładów, z których parkingu korzystam, wyszło kilku mężczyzn. Ze spokojem obserwują zajście. Przechodnie także nie wykazują większego zainteresowania tym, co się dzieje. Chwile się przysłuchują i idą dalej.

Podchodzi portier.

— To blisko — mówi — Na tamtych świątłach trzeba pójść w prawo. Pytajcie o starą prokuraturę. To taki duży budynek przy ulicy Bohaterów Stalingradu. A co do tej pani, to nie ma co się przejmować, pewnie nie dopieszczona.

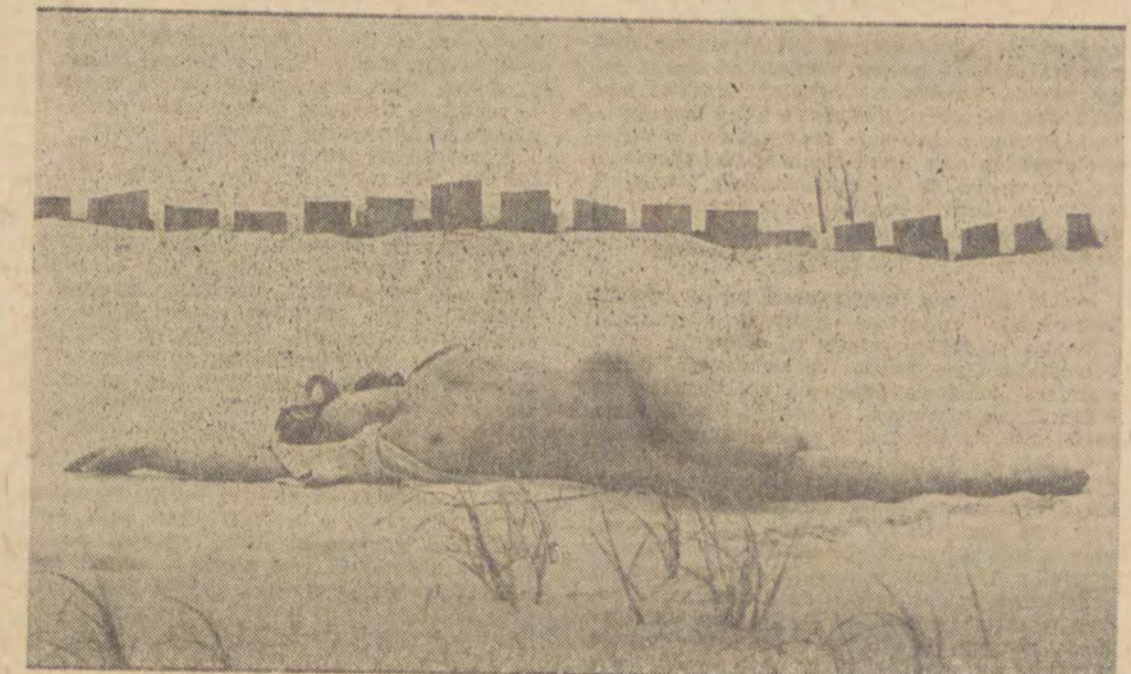
Jakiś czas chodzimy po Krakowie, po którym chodzą wcale nie łatwiej niż jeździć. Trwa akcja odnawiania i zabezpieczania starych murów: wszędzie rusztowania, ogrodzenia, pracujące betoniarce, dymiące samochody dostarczające wapno, cegły, deski. Wśród tej krzątający po dawnemu ciągną wycieczki, snują się zagraniczni turyści, a na Rynku tysiące gołębi i setki fotografów utrwalających Sukiennice, pomnik Wieszca i stragany z kwiatami.

Wreszcie trafiamy do salonu „Venus 79”. Prezes Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, a jednocześnie szef salonu mgr WŁADYSŁAW KLIMCZAK, o którym się mówi, że osó-

ku fotografii krakowski salon jest wymienia-ny na pierwszym miejscu.

Prezes W. Klimczak twierdzi, że „Venus” swoją sławę zawdzięcza wrogom. To oni zwalczając, szkalując, opiuwając i niszcząc ekspozycje pracowali na jej obecną renomę. Dzięki ich uporowi o krakowski salonie mówiła cała Polska, a wkrótce niemal cały świat. Bo „Venus” była zwalczana z równym zacietrze-wieniem przez dewotki jak przez ówczesne „władze” od kultury, a także przez „speców” od sterowania kulturą. A więc przed pałacy-kiem Pugetów organizowały się spontaniczne pikety, specjalnie „czujki” nosiły w miasto wieść o rozpuszczeniu uprawianej w Krakowskim Towarzystwie Fotograficznym, księży z ambon przestrzegali przed grzechem strasząc piekiel-nyimi mękami (co miało ten skutek, że ludzie zaraz po mszy co tchu pędzili na wystawę), władze miejskie zabraniały organizowania ko-lejnych wystaw... Z czasem jednak tempera-menty ostygły, Kraków nie uległ zagładzie, na-ród nie szczył od morowego powietrza, a i gło-sy prasy światowej przekonały wielu, że salon „Venus” nie jest rozsądkiem oparów dema-ralizujących, a prezes Klimczak nie usiłuje się wykreować na szamana lub przywódcę nowej sekty. Zresztą dość szybko krakowski salon znalazł się wśród pięciu największych między-narodowych salonów fotograficznych (Londyn, Singapur, Hongkong i francuski sławny salon w Bordeaux).

Ale wojna trwała nadal. Już nie chodziło o obrazę obyczajów, raczej o prestiż. Związek Polskich Artystów Fotografików reprezen-tujący Polskę w FIAP (Międzynarodowa Federacja Sztuki Fotograficznej) w Szwaj-carii, nie chciał wyrazić zgodny na to, by „Venus” mogła ubiegać się o patronat wzmiankowanej wyżej międzynarodowej or-ganizacji. Doszło do tego, że ZPAF zaczął zwalczać „Venus” i zabronił swoim człon-kom uczestniczenia w tym salonie. Jest pewna prawdziwość, która sprowadza się do tego, że aby zostać uznany w kraju, trzeba znaleźć uznanie w oczach innych narodów. W 1974 r.



wartość później oceniono na 50 tys. zł. Działo się to w czasie prelekcji prowadzonej przez specjalistę z USA w dziedzinie fotografii. Po dokonaniu zniszczenia, kobieta wręczyła Ame-rykaninowi kopertę z listem i proszkami, na której napisała: „Otwarcie grozi śmiercią”. Sprowadzony specjalista z wojsk chemicznych nie znalazł w proszku trucizny, ale popioch na sali był spory. W sądzie kobieta wyjaśniła, że był to jej protest na brak na wystawie aktów męskich. Ofiarą wojującej „sufrażystki” padł także krakowski publicysta Brunon Rajca, któ-rego znieważono czynnie w budynku redakcji, właśnie za to, że bronił „Venus” przed atakami kultuństwa. Jako ciekawostkę, choć przytoczyć fragment owego listu, jaki otrzymał gość z USA.

„Szanowny Panie i Honorowy Gościu z Ame-ryki...! Choćbym miała w kryminalie skonać, dzielnie będę stawać czoła, a nie stchórzę — i tak męka i tak męka... Mężczyźni są gorsi od zwierzęzy, dla nich zamordowanie człowieka to nic, nie mówią już o innych rzeczach. Mając 35 lat nie wyszłam za mąż, żeby nie podzielić losu innych żon. Kobieta wyjdzie raz za mąż i ma dość, a mężczyzna żeniłby się i z dziesięć razy... Zał mi Lynette Fromme, nikt jej nie chce zrozumieć... Może Pan nie będzie zachwy-cony tym, co zrobiłam, ale jeśli Panu nie jest obojętna ludzka krzywda, na pewno Pan mnie nie potępi i spełni moje życzenie, żeby kobiety mogły oglądać gołe ciała mężczyzn na równych prawach...”

Wojna trwa po dziś dzień: fotogramy są czę-sto cięte nożami, szyby budynku są wybijane bądź zamalowywane, a afisze „Venus” są niszczone niemal zaraz po ich rozklejeniu. Dodać do tego trzeba setki listów-protestów, adresa-tami których, jakże często, są ludzie ze stop-niami naukowymi. Ale upadek salonu, ma pod-łoże bardziej prozaiczne. Nie ludzie zlikwidują „Venus” lecz... katalog!

Oddany do druku cztery lata temu (Drukarnia Wydawnicza w Krakowie) ukazał się latem 1979 r. w nakładzie 8 tys. egz. à 2.000 zł za sztukę (wnioskowano o druk 32 tys. egz.). Wydru-kowana ilość wystarcza akurat dla autorów otrzymujących egzemplarze bezpłatnie. Czyli z 16 tys. jakie można byłoby uzyskać ze sprze-daży katalogu, do kasy nie wpłynęło ani jedna złotówka. Roczny dochód zaś z wystaw „Venus” kształtuje się w granicach 800 tys. zł, co ledwo wystarcza na prowadzenie działalności. I nagle prezes otrzymuje rachunek z Drukarni Wy-dawniczej ni mniej ni więcej, tylko na całe 2 mln zł! Prezes sądził, że być może koszt dru-ku katalogu będzie oscylował w okolicy pół miliona, na co uskladał potrzebną kwotę. Ale aż tyle! Tak więc plac salon „Venus” znalazł się przed nieuchronną plają. Prezes Klimczak zna-lazł się w sytuacji krakowskiego, średniowiecz-nego żaka, który puka do wszystkich możliwych drzwi szukając pomocy. Żak zawsze pomoce

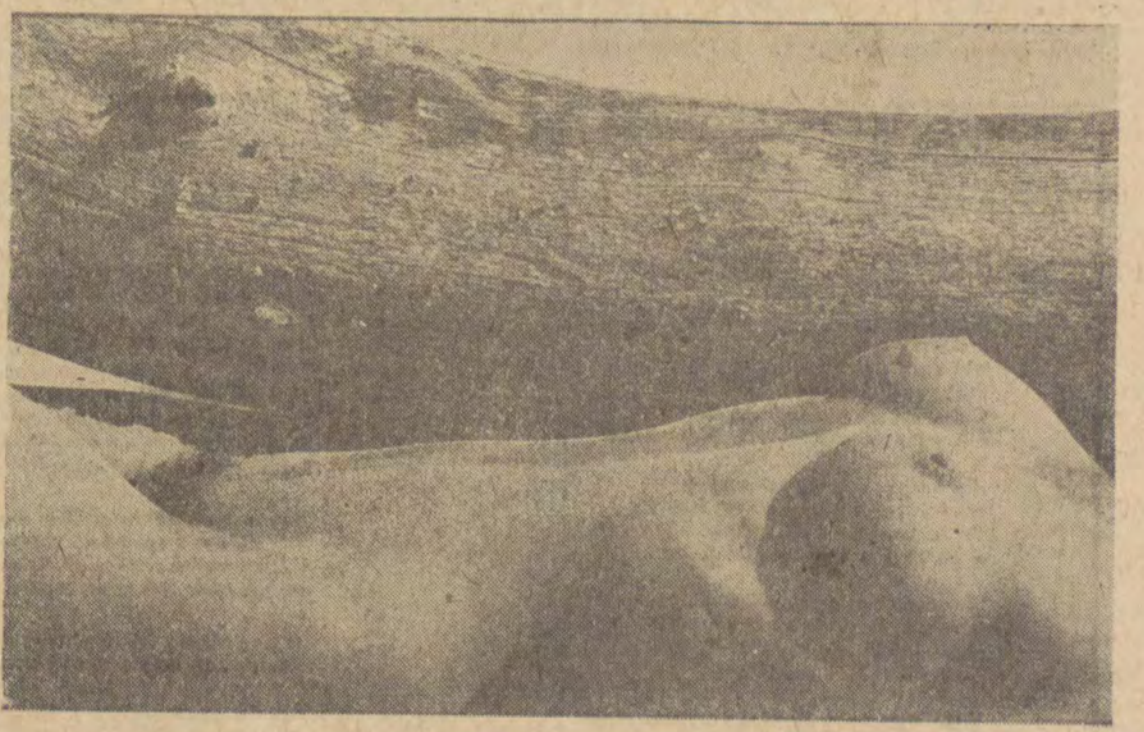


Foto: M. Peraudeau

Eugeniusz Iwanicki

# trwa wojna O „VENUS”

biście zna połowę ludzi w Polsce, a druga po-łowa zna osobliście Klimczaka „jest na mieście”, ale zaraz powinien się zjawić.

Przez sale zawieszane aktami przechodzą nie-liczni zwiedzający. Są to ludzie w różnym wie-ku: podrostek z podstawówki zapatrzony w ol-brzymi czerwony portret zadumanej dziewczyn-y, brodac z aparatem fotograficznym kon-templujący cykl czarno-białych fotosów spoczy-wającej kobiety, para studentów ze splecionymi palcami sunąca w zamyśleniu wzdłuż ścian, grupka Niemców, starszka usiłująca czytać bez okularów prospekt, kilku panów wertują-cych księgę wpisów...

Salon „Venus” istnieje już 10 lat. Dotąd było 19 ekspozycji, dwudziesta zostanie otwarta w połowie grudnia br. Czy będzie ostatnią?

Lecz wpiętro trochę historii, bowiem salon „Venus” nigdy jeszcze nie pozostawał na ubo-żu ludzkiej zainteresowania, nie był pomijany ani przez mieszkańców Krakowa, ani przez środki masowego przekazu. I nagle stanął przed dylematem: być albo nie być? Więcej jednak przemawia za tym, by ogłosić upadłość.

Każdy coroczny salon składa się z dwóch części: pierwsza jest otwierana wiosną i za-wiera wszystkie prace nagrodzone i tzw. prace wizytówkowe (tj. stanowiące niejako wizytówkę dokonań, mody, trendów itp. w fotografii światowej minionego sezonu, szczególnie w ak-cie i potreciej Salon ten trwa pół roku i właś-nie w grudniu zostaje zmieniony ustępując miejsca pracom warsztatowym autorów z ca-łego świata, choć na tym drugim salonie jest większa ilość autorów, za to mniejsza ilość prac każdego z nich.

Co roku w krakowskim salonie „Venus” wy-stawia ponad 1.000 autorów z 50 krajów, a łącz-na ilość prac osiąga liczbę 5 tysięcy. Z tej ol-brzymiej liczby jury wybiera zaledwie 500, które później są prezentowane w czasie wspo-mnianych już dwóch wystaw.

Salon „Venus” jest jedyny w świecie, który jest całkowicie poświęcony tematyce aktu i portretu. Co prawda są tzw. „śmietniki arty-tyczne”, gdzie umieszcza się niewielkie ilości fotoportretów i aktów wśród innych prac wy-stawienniczych. Natomiast na światowym ryn-

dyktorat FIAP nie pytając o zdanie Zw. Polskich Artystów Fotografików przyznał kراكowskiemu salonowi patronat nie tylko za lata bieżące, ale i za wszystkie minione, a także za te, które nadejdą. Jest to przypadek bez pre-cedensu. Jak wynika z listu sekretarza gene-ralnego FIAP K. Bürki wystawa „Venus” w pełni na tak wielkie zaufanie zasługuje. Oczy-wiście, w kraju wybuchła przysiółkowa „burza w szklance wody”. Związek Polskich Artystów Fotografików wytosował oficjalny protest do FIAP. Ale niczego nie dało się cofnąć. Dziś, dla uniknięcia sporów, opiekę nad salonem „Venus” objęło Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Wróć jeszcze na chwilę do początków „Ve-nus”. Pierwszymi przeciwnikami wystawy byli... złodzieje. Łącznie skradziono 280 fotogramów. Niemal z dnia na dzień powtarzały się włama-nia, zrywanie plansz, porywanie zdjęć. Trzeba było jakoś się zabezpieczyć, bo milicja nie zawsze zdążała na czas. Planowano więc zło-żenie pancernych płyt szklanych, lecz okazało się, że ściany nie wytrzymają i runą. W 1970 r. dokonano ponownego włamania, powiódłabym z rozmachem, na wzór klasycznych włamań w podpatrzonych w filmach gangsterskich. W no-cy pod budynek podjechał samochód z drabiną strażacką, wycięto kraty, wywieziono co lepsze ekspozycje, zniszczono przy okazji meble, urzą-dzenia itp. Śledztwo trwało półtora roku i zo-stało umorzono. Pierwszym podejrzanym był prezes Klimczak, o którym mówi się, że dla reklamy swego salonu gotów byłby sam doko-nać włamanie. Dopiero później, pod Wawelem, naprzeciwko, nomen omen, Baszty Złodziejskiej wykryto mikrogalerię złodziejską, gdzie skra-dzione akty były ekspozowane.

Włamań było wiele. A raz złodzieje wystąpi-li otwarcie: wpisali się do księgi pamiątkowej podając dzień i godzinę włamania. Oczywiście postawiono milicję i śmiało im zmuszeni byli się wycofać. Było i tak, że przytłapani na kra-dzieży miody człowiek pobił kasjerkę, podarł na niej ubranie, pokaleczył twarz.

Ale najgłośniejszym napadem był napad-pro-test pewnej krakowianki, która w grudniu 1975 r. oblała kwasem solnym fotogramy, których

ciąg dalszy ze str. 1

...nie ilustruje jednak głównie skutki procesów, choć zawiera również pewne sugestie na temat jego genezy. Świadomość bohatera uwikłał pan w takie dziedzictwo kulturowe, które utrudniało krytyczne rozpoznanie zaobchodzących w świecie przemian oraz dostrzeżenie skali i charakteru zagrożenia. W jakich pokładach tradycji duchowej tamtych czasów widzi pan źródła tej specyficznej niezdolności do trafnego prognozowania w sprawach wojny i faszyzmu?

— Jak pan wie, wychowałem się w mieście, które miało kulturowe tradycje austriackie. Tradycje te funkcjonowały do września 1939 r. również w tym sensie, że zwłaszcza wśród starszego pokolenia uznawano się Niemców za kulturalnego partnera. Wiedziانو wprowadziło, że Niemcy są przeciwnikiem brutalnym. Galicja miała ze wspomnienia z przemarszu wojsk niemieckich podczas pierwszej wojny, gorsze, niż z przemarszu wojsk carskich. Niemcy byli strasznie skrupulatni. Bardzo grabili, nawet ziemię wywozili — to sławna historia. Niemieńskie wszystko to robili w swoistej głośnej prawdy, praworządności. I ludzie mieli złudzenia. Podam panu taki przykład. Gdy Niemcy wkroczyli do Zbaraża, w którym spędzałem okupację, wezwali wszystkich Żydów z wyższym wykształceniem do zgłoszenia się w określonym miejscu, o takiej i takiej godzinie. I to zostało zinterpretowane w rozsądny sposób: widocznie ludzie o wyższym wykształceniu są w jakiś sposób potrzebni. Nikomu nie przyszło do głowy, że ci ludzie zostaną wywiezieni za miasto i rozstrzelani.

Od 1933 roku działał się w Niemczech wiadome rzeczy, ale Europa, jak mieszcząństwo niemieckie, uważała, że jeśli bóg przechyla się w lewo, to dla równowagi należy nachylić się w prawo. Faszyzm włoski, który nie deklarował antysemityzmu, przez całe dziesięciolecie traktowany był pobłażliwie. Właściwie jego pierwszym, szerzej zauważonym ekscysem, była inwazja na Abisynię. I taki stosunek do narastających tendencji nacjonalistycznych, które przecięły u nas dochodzący do głosu, był powszechny. Psychiczne nieprzygotowanie do wojny odczuwało się w atmosferze 39 roku nawet po marcowym przemówieniu Becka. Wojna, no cóż, tyle już przecie wojen było, ale zawsze toczonych według pewnych reguł. Właściwie Polska ówczesna pamiętała tylko drastyczny przypadek bombardowania Kairu w 1941 roku.

To były, proszę pana, wakacje. Świeciło słońce. Snuły się nierzad burze. Ale nie było jeszcze świadomości, że zaistnieć może w świecie ludobójstwo.

Przypomnę panu słynny „Spór o sierżanta Griszę” Zweiga. Książka ta kończy się tragicznie, ale w istocie ukazuje przeciętne, że całe sztabe niemieckie potrafiły zajmować się sprawami jakiegoś jednego rosyjskiego podoficera dezertera. To też były lekture z epoki wakacji.

— Zupełnie inaczej wygląda historia niemieckiego dezertera w „Końcu wakacji” i ona właśnie budzi u mnie pewne wątpliwości. Zgadzałem się, że głębsze treści nieprzygotowania psychicznego do czasów ludobójstwa, brak wyobraźni moralnej (bohater, polski oficer, do końca, aż do momentu egzekucji nie pojmując, jaka nastąpiła zmiana jakościowa, jeśli tak można powiedzieć, w sposobach wojowania), zostały w tej powieści wydobyte i przeżył się wypracowane. Natomiast sama fabuła wydaje mi się nie przekonywująca. Skompromitowana została postać kontrwywiadu polskiego wobec rewelacji niemieckiego zbiega, ale przeciętne wiemy doskonale, że choćby zaręczano inaczej, zajęto się tajemniczym informateorem troskliwie, uwierzone mu itd., to i tak nie było to w losie państwa nie zmienilo, gdyż różnica sił między stronami konfliktu, układy geopolityczne skazywały Polskę na zagładę.

— Po pierwsze: to nie jest książka o pracy wywiadu. Ale jeśli już pan tak tę sprawę widzi — to po wtóre: gdyby praca wywiadu, Sztabu Generalnego i naszej dyplomacji w sposób jasny od połowy lat trzydziestych prowadziła do tego, że konfrontacja staje się nieunikniona, nie doszłoby do wielu ostabających nas politycznych decyzji.

— Zgoda, ale ta praca musiałaby być inna na kilka lat przed wybuchem wojny, nie zaś na tydzień przed wrześniem.

— Oczywiście, ale ja nie piszę o pracy wywiadu polskiego na parę lat przed wojną, natomiast stwierdzam, że gdyby nie ów nastrój „wakacji” — walnej beztronski i arcy-polskiego „jak obędzie” — to nie doszłoby chyba, ani do sprawy Zaolzia, ani do sprzedaży znacznej części naszego sprzętu lotniczego, ani

wreszcie do oświadczenia Becka na dwa tygodnie przed agresją niemiecką, gdy przeciętne dał słowo honoru dowódcem armii, że nie będzie wojny. Nie mówiąc już o zaniedbaniach w produkcji broni defensywnej, którą można było rozwinąć, zwłaszcza jeśli chodzi o nasze znakomite działka przeciwpancerne 37 mm.

A mentalność mego pik Klon-Sawickiego? To też nie jest czysta kreacja literacka. Zetknąłem się podczas okupacji z takim człowiekiem. Był to ukrywający się oficer z Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Kiedyś, rozkrochmalwszy się, opowiedział mi, że on w GISZu, nigdy nie zastanawiali się jakimi drogami na wypadek wojny prowadzić będą zapasowe artylerii w amunicję. Niestety, to była taka przedziwna, sielsko-anielska, w łapiach i w lnianych portkach, anachroniczna improwizacja. I to właśnie nastawienie psychiczne, ten styl myślenia o przyszłości w chwilach, kiedy nadchodził kres pewnej epoki, starałem się ukazać.

— Rozglądając się po tym pokoju zauważam, że widać w nim w pewnym sensie pana twórczość, czy raczej upodobania mające związek z pana piarstwem. Na przykład tu jest obraz o tematyce wojennej, obok portret bójki Fran-

— To już dzisiaj straszny anachronizm, ale jestem w pewnym sensie behawiorysta. Penetrowanie głębin psychiki człowieka w sytuacjach dramatycznych nie budzi mojego zainteresowania. Pańskie pokolenie jest w lepszej sytuacji, bo nigdy nie byliście przedmiotem miazdzącego nacisku zdarzeń. Wciąż mam w pamięci mych rówieśników, przyjaźnił między 20 a 25 rokiem życia, w trybach historii. Widzę jak są kształtowani na zasadzie jakby prasy pneumatycznej. Nie dostrzegam szansy dla refleksji intelektualnej w momencie takiego nacisku. W Zbarażu znalazłem, który zresztą wówczas zginął. Był intelektualistą, bardzo bliskim Ignacemu Fikowi. Wtedy przestał wierzyć w ogóle w manipulacje intelektualne. Mówił mi to. Ja również swego czasu czekałem na egzekucję. I doprawdy nie jestem w stanie odtworzyć tamtej swojej sytuacji psychologicznej.

— Rozumiem pana, ale mówimy chyba o różnych sprawach. Zgadzałem się, że bohater w tych skrajnych momentach nie ma czasu na spekulacje myślowe i one tracą sens w potwornym temple. Narrator jednak, który z perspektywy czasu opowiada jego historię, ma na to czas, jeśli tylko umożliwi mu to przyjęta koncepcja powieści i swoją aktywnością może wprowadzić do utworu pierwiastki rozumne, nieraz nawet rezonerskiej refleksji, rozważającej w wielu aspektach element intelektualny nie ujawnia się wprost, czytelnik musi z samego opisu faktów dowiedzieć się wszystkich o pana stosunku do spraw moralnych i odnaleźć myśl przewodnią o cechach światopoglądowych.

— Takie jest moje zamierzenie. Komentarza od autorskiego unikam świadomie, przedstawia-

jakąkolwiek rolę przestał odgrywać pieniądź z tej prostej przyczyny, że wszyscy żyli w jednakowej nędzy. W każdym bądź razie nie byłam tej wojny świadkiem walki o spuściznę po ludziach zamożnych. Toteż byłam i zaskoczony, i zupełnie bezbronny, kiedy zaczęto mi po wojnie opisywać szmelcownictwo, czy elementy bratobójczej wojny politycznej.

— A co pana najbardziej irytuje dzisiaj? Pytam autora powieści ukazujących ujemne zjawiska w życiu współczesnym.

Uważam, że nie ma nic równie haniebnego, jak dwulicowość. Sądzę, że dwulicowość, z którą stykamy się tak bardzo często, jest jedną z przyczyn naszych klęsk współczesnych: społecznych, ekonomicznych, politycznych. W „Ikonach” posłużyłem się relacją: „szlachetny” taś — byle jakie dzieci”. Jest to taki układ, który obraca wniwecz wszelkie wzniosłe deklaracje o idealach.

— Ale czy nie są to jednak sprawy marginalne, incedentalne?

— Tam gdzie dwulicowość narusza normy współzycia i sprawiedliwości, zawsze sprawa jest poważna. Nie jestem zresztą pewien, czy są to zjawiska marginalne. Myślę, że ukazana w tej powieści sprawa nihilizmu moralnego styka się z sferą zjawisk dość powszechnych, niestety. Oczywiście, że ważniejszym tematem byłoby ukazanie walki politycznej. Taką powieść napisać! Chciałbym taką powieść przeczytać.

— Rzecz ciekawa, że tak sceptycznie zazwyczaj zapałujemy się na perspektywy powieści politycznej o czasach współczesnych, a przy-

# POD PRESJĄ HISTORII

ciszka Józefa, dalej wizerunek Conrada i styczeń z pięknym żaglowcem... Coś z przeświadczeń moralnych Conrada jest w pana prozie. Wiem zresztą, że zajmuje się pan bliżej biografią Korzenińskiego. Widzę na stoliku wydane ostatnie pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego, wuja Conrada.

— Te pamiętniki znam jeszcze z pierwodruku, bardzo trudno dostępnego. Teraz na szczęście wyszły w opracowaniu Kieniewicz. Ale mnie interesuje ta saga rodzinna nie w sensie faktograficznym, chociaż fakty są też niesłychanie ciekawe, lecz przede wszystkim dlatego, że tam jest klucz do sprawy istotnej, jeśli chodzi o Conrada. To znaczy — do tego klasycznego kompleksu: wierności, ucieczki, „Lorda Jima” itd. Sądzę, że w conradologii przeczocono pewne elementy tej sprawy. Usiłuję więc coś na ten temat pisać. Conrad był z całą pewnością pisarzem mego pokolenia. To był pisarz, którego odkrywaliśmy w czasie okupacji.

— Rzecz jednak ciekawa, że teraz odczytuję się Conrada bardziej jako pisarza wątpliwości, niż pisarza niewzruszonej wiary w wartości moralne.

— A pan myśli, że nasza wiara była pozbawiona wątpliwości i rozterek? To duże uproszczenie.

— Pan wybacz, ale posługuję się w obronie argumentem czytelnika, który nie dostrzega tych wątpliwości w pana prozie. Może nie należy ich tak ukrywać i tylko z męską twarzą występować?

— No, nareszcie zaczynamy „wszystko za wszystko”. Bardzo dobrze, że tak rozmawiamy. Ten zarzut zawsze, ilekroć się pojawia, ogromnie mnie zaskakuje. Jestem głęboko przeświadczony, że napisałem książki pełne wątpliwości.

— Myślę, że zaistniała tu kontrowersja można wyjaśnić poprzez odwołanie się do właściwych metod twórczych, którą pan stosuje. Otóż rezygnuje pan ze środków narracyjnych nagminnie dziś występujących w powieści, a mianowicie z partii refleksyjno-dygresyjnych. Sam pan kiedyś przyznał, że ma wyobraźnię wizualną, widzi wszystko poprzez konkretną sytuację ludzką i dlatego jedynie z biegiem wydarzeń można wysnuć wiedzę o poglądach, wątpliwościach lub braku wątpliwości pisarza.

— Mówił pan o nacisku historii determinującym jednostkę. W jednym z wywiadów wspominał pan już, że w sytuacjach przez siebie opisywanych na dobrą sprawę nie było wolności wyboru, że ograniczała się ona do wąskiego marginesu decyzji typu moralnego. Konstrukcję tę powtarza pan w „Końcu wakacji”. Bohater wraca po niemieckim dezercerze, aby go ratować przed hitlerowcami, co jest z jego strony aktem heroicznym.

— No, w pewnym sensie jest to donkiszowska akcja, ale chyba zarazem jakaś ilustracja Conradowskiej formuły, że trzeba być wiernym samemu sobie.

— Czy stwierdza pan to na podstawie swoich doświadczeń? Czy tak było i jest, czy pan chce, żeby tak było w życiu?

— Ten mój okres najcięższy, okupacyjny, zetknął mnie z bardzo różnymi ludźmi, którzy takiej zasadzie holdowali. I dzięki temu przeżyłem. Rozumiem, że ktoś inny, kto obcował z ludźmi zbankrutowanymi moralnie, skłonny mi do popełniania nieprawości, ulega skłonności do wyprowadzania deprymujących sądów ogólnych o człowieku. W tym patriarchalnym Zbarażu, o którym bardzo bym chciał napisać książkę, Polacy, pozostający w sytuacji straszliwej, byli bardzo solidarni. A oprócz tego przechowali całą plejadę Żydów. Mógłbym wliczyć panu mnóstwo nazwisk. Wszystko to działo się w miasteczku opanowanym przez SS-Galizen, przez policję ukraińską, Bóg wie przez jakie inne jeszcze faszystowskie formacje.

Czy panu wiadomo, że Karol Kurtyluk pochodził z Zbaraża? Był on chyba najwybitniejszym lewicowym intelektualistą tego okresu działającym w kraju, wydawał podziemne pismo komunistyczne i byli ludzie w Zbarażu, którzy zdawali sobie z tego sprawę, chociaż jednocześnie oddziaływała tam Sienkiewiczowska tradycja tego miasta. Było to na swój sposób społeczeństwo monolityczne, bo pod presją mniejszości staje się solidarna i wtedy wiele spraw popolitych sublimuje się. A poza tym

najmniej niezbyt odległych, tymczasem zaś główny esej Artura Sandaera w „Polityce” wprowadził w obieg publicznych dyskusji gotowe pojęcia klasyfikujące naszą rzeczywistość polityczną. Przy czym formuły te nie zostały zacierpnięte z materii żadnej literackiej opowieści o Polsce współczesnej. Czy nie stwarza to pokusy sprawdzenia tych pojęć w pracy twórczej?

— Napisałem powieść, w której mówi się o układach politycznych dnia dzisiejszego i w której te Sandauerowskie formuły mają działające przedstawieli, ludzi, do których pałają i ta moja, jakbym to nazwał, inklinacja „behawiorystyczna”.

— Pana dewiza jest więc szacunek dla faktów. Związek z faktami stwarza szansę poznawczą, ale i wciąż nowe źródła kłopotów. Fakty bowiem bywają poniżej naszych, cudzych i nierzad powszechnych marzeń.

— Fakty najsilniej mnie inspirują i chyba najwięcej przysparzają kłopotów, zwłaszcza wtedy, gdy niektórzy czytelnicy i krytycy „rozszkafują” moje powieści doszukując się w nich konkretnych, żyjących ludzi i autentycznych wydarzeń jednostkowych. Moje powieści mówią o sprawach i faktach, które mogły i mogą się zdarzyć, nie są jednak kroniką rzeczywistości. Skoro już o tym mówimy: właściwie ograniczone możliwości pisarskie wynikają ze sfery faktów. Dlatego to, co uważa się za analizę psychologiczną, monolog wewnętrzny i inne formy demonstrujące bogactwo intelektualne alter ego pisarza często odczuwam jako piękności, a nawet eskapizm.

— Nieufnie traktuje pan spekulacje teoretyczne. Czy więc odpowie mi pan na pytanie, czym jest dla pana twórczość?

— Cenię Conrada, ale nie sądzę, aby literatura mogła „oddac sprawiedliwość widzialnemu światu”. Nie fascynuje mnie też literatura, jako cel sam w sobie. Pisanie traktuję, jako metodę działania, jako środek kontaktu z rzeczywistością i z innymi ludźmi.

— Od tych zdań można by zacząć nową, ciekawą rozmowę. Za tę dzisiejszą serdecznie panu dziękuję.

Rozmawiał: JERZY RZYMOWSKI

## DOROTA CHRÓSCIELEWSKA

Był dom A może go nie było  
Trwały to czy nie trwały ściany  
Ale na pewno nadfrunęło  
jedwabne niebo przez firany

Był dom Okruszek Oculupinka  
Pięta jedyna strona świata  
I chociaż na nią też spadały  
nieszczęścia wielkie jak Manhattan

Ale i szczęście się szczęściło  
wśród starej biedy nowej biedy  
To najprawdziwsze z ludzkich szczęść  
o jakim nie śnił Tatariewicz

Ktoregós nie przeczuwał nigdy  
drwiący ze skutku i przyczyny  
objawiający się w sprzecznościach  
Boże od raka i morfiny

Więc dom nam kaszał chrypsał małał  
Swoją krzyż po jakichś włóki pagórkach

I tak do nieba się doczapiał  
— jak sobie myśli moja córka

Były dwie siostry (jak w balladzie)  
Zaś między nimi legł świat cały  
Obrączki ślubne różnej wiary  
Zwodzone mosty i rubieże

Stoi na stacji lokomotywa  
Do siostry siostra przez świat bieży  
Bo siostra drwi z odchyłem w wierze  
I nie wie co spalone mosty

Zaś noc nie bywa piękna jak sen  
gdy bólem i piwoćną broczy  
I chce ażeby siostra siostrze  
na bezmiar już zamknęła oczy

Więc później ziemi napatrzeczek  
siostra zatrzśnie w swej torebce

I pędzi pociąg bieży pociąg  
górną dolną w mrok jasnością

Jedna się siostra z płaczem zмага  
A druga zмага się z wiecznością

Bo były dwie siostry (tak jak w balladzie)

„Tuzki niebiesnye, wlecznye stranniki”  
Michał Lermontow

Chmury niebieskie Wieczne tułaczki  
Białe sukienki Ślubne welony  
w jaki gwiazdzisty szlak rozżagwiony  
moją jedyną wzniosłyście rzekę  
Haleczki białe Pończochy białe  
które nie wlecie co śmierć co ciemność  
Czemu Cyganki Iskry krzeszenie  
w holubkach w zamieć W zapasie nade mną  
Z tuiów z jedwabów z kaszmirów chmury  
czy was też silne pętają sznury  
Warkocze Wstążki czy was przygniata  
determinizmu żelazna lapa  
ból nieistnienia w wieczności świata  
Welony wdowie Kwey Zasilony  
nim zaistniałe a już minione  
W jakich rzęsistych gwiazdach dalekich  
w proch się wróciły wody mej rzeki

Doprawdy nie wiem od czego zacząć. Zakres emocji i wrażeń, które inspiruje u widzów TVP jest tak rozległy, iż zastanawiam się, czy najpierw zwierzyć się z satysfakcją jakiej wywołano, czy raczej przedstawić, że zebrano się wysoki grremium aby omówić funkcję i miejsce literatury w programie tv, czy rozpocząć od irytacji. Pisałem przecież przed dwoma tygodniami o niedostatkach TVP w tym zakresie. A tu proszę Jan Dobraczyński i Artur Sandauer, Andrzej Kuśniewicz i Zbigniew Safjan, Wojciech Zukrowski i Wiesław Myśliwski pod kierunkiem odpowiedzialnych redaktorów tv „wysoko ocenili” rolę telewizyjny w upowszechnianiu literatury. Wszystkie oni w mniejszym lub większym stopniu rzeczywiście wiele tv zawdzięczają.

Pominę szczegóły. Jedyne — jak się wydaje — twórczość Andrzeja Kuśniewicza i jego sylwetka zostały przez tv w jakiejś mierze spopularyzowane. Artur Sandauer spełnia rolę (np. w „Pegazie”) dyktującego serwisu krytyczno-

literyackiego: trzeba powiedzieć o kiczu, prosić Artura Sandaera, twórcę Kantora — „oto, co powiedział nam Artur Sandauer”. Jan Dobraczyński (np. w programie „Jak”) wypełnia miejsce przewidziane dla osoby, o której prowadzący audycję może powiedzieć „pisarz”. Tak czy inaczej, dobrze się stało, że TVP ten ważny obszar polskiej kultury, jakim jest literatura, zamierza w swoich programach wyraźniej zaktywizować. To ta satysfakcja.

Ale tv wywołuje także rozliczne irytacje. Chciałem wreszcie obejrzeć film „Nadzieja i zwątpienie” w cyklu „W minutę po premierze”. Zdało się, że w końcu można było ów film zobaczyć, choć nadawano go w czwartek w programie pierwszym w tym samym czasie, gdy w drugim emitowano trzecią część widowiska „Idea i miecz”. Czy naprawdę telewizja ma tyle atrakcyjnych pozycji, że nie może ich rozsądnie pomieścić w programie? Nie sądzę. Dalej. Część trzecia widowiska „Idea i miecz” (produkcja „Poltehu” z 1978 roku) emitowana była bez nazwiska twórcy i scenarzysty. Zupełnie nie wiadomo dlaczego?

W jedenastym numerze „Odry” Jan Zaborowski kontynuuje arcyciekawą esej sprokowany przez słownictwo amerykańskim „Holocaust”. W gruncie rzeczy jest to tekst o historii tolerancji w Polsce. Wspomina o artykule z „Odry”, ponieważ koncepcja ideowa tryptyku historycznego Grzegorza Królikiewicza pozostaje w ścisłym związku z problematyką eseju. Pisze Jan Zaborowski: „Ileż najpiękniejszych ludzkich idealów i zdobywczy — jak wolność i demokracja, poszanowanie praw człowieka, tolerancja, narodowość, polityczna i religijna, pluralizm — zrealizowała historia na Polsce, o czym my sami wiemy tak mało, a świat nie wie nic?”

Widowisko Królikiewicza, co trzeba wstępnie podkreślić, nie jest rekonstrukcją faktów historycznych związanych z dziejami unii polsko-litewskiej. Nie jest programem z cyklu „wielkie bitwy historii”, który był telewizyjną ilustracją poszczególnych rozdziałów z podręcznika historii. „Sens historii — mówi Królikiewicz — prezentacji „Kroniki polskiej Galla Anonima” — leży nie w poznawaniu odwarstwień przez nas na planie rzeczywistości dawnej, ani tym mniej — na wpływanie na bieg współczesnych dzieł. Sens spłata się wtedy, kiedy wszystkie moje światłocenne i niesłowne wszystkie zdarzenia, żeby zdobyć orientację poznawczą, poszłoczą chaos mojego życia.”

„Czym właściwie jest „Idea i miecz”, po co ją zrealizowały? Zbliżamy poznaliśmy swoją przeszłość, a więc siebie. Skłócić — to, co z przeszłości ma stać: oto jest gotowe.” — to cy-

tat z Innej wypowiedzi autora „Konstytucji 3 Maja”. Konstrukcja całości tryptyku zatem została podporządkowana nie tyle diachronii kolejnych wydarzeń historycznych, co logice kształtowania się określonej myśli politycznej.

Część pierwsza przedstawia genezę i dziejową konieczność tej myśli, więc zagrożenie Polski po śmierci Ludwika Węgierskiego, próby wyprosszenia państwa z tego zagrożenia, projekt unii z Litwą. Część druga, to nadanie temu projektowi wymiaru realnego; wyeksponowana w niej postać Jadwigi i jej ofiara, to niezwyczajnie sugestywny skrót o konieczności rezygnacji z celów osobistych na rzecz idei narodu i jego przyszłości. Część trzecia — finał tryptyku — to prezentacja zwycięskiego sporu z zakonem krzyżackim na soborze w Konstancji, to uznanie polskiej zasady równości, tolerancji właśnie, poszanowania praw wszystkich bez względu na religię, to zaprzeczenie feudalnej zasady hierarchii i politycznej zależności.

Bohaterem tej części jest Wasyl Szukaszyn — aktor, reżyser i scenarzysta filmowy, prozak i dramaturg — zajmuje własne, wybitne miejsce w historii współczesnej sztuki radzieckiej. Był człowiekiem wielkiej pracy i wielkiego talentu, spała go niespokojny ogień i spalił o wiele przedwcześnie.

Teatrem zajął się Szukaszyn dopiero u kresu swej drogi, a przecież i w tej dziedzinie pozostawił parę dzieł znaczących. Prapremiera „Ludzi energicznych” odbyła się w roku 1974 — ostatnim roku życia pisarza — który zdążył jednak przed śmiercią obejrzeć adaptację sceniczną swoich „Charakterów” i napisać dwie kolejne opowieści teatralne: „Gdy przebudzą się rano” i „Nim trzeci kur zapieje”.

Przytaczam te dane ze znakomicie zredagowanym przez Teatr Powszechny programem, z którego widać dowie się o wiele więcej o niezwykle osobowości Szukaszyna, sądzę wszak że jedna najważniejsza sprawa domaga się dodatkowego wyjaśnienia. Twórca — pamiętajmy — wyrósł z filmu, wszelkie formy filmowej dramaturgii były mu w naturalny sposób bliskie, przeto i jego „opowieści teatralne” postąpiły swoistym zapisem, bez podziału na akty i sceny, bez wydzielonych dialogów, a także bez branżowych w starannie zaznaczane nawiasy didaskaliów. „Ludzi energicznych” czyta się łatwo, prawie jak opowiadanie, wlernie przeniesie rzecz na scenę jest zapewne o wiele trudniej.

„Żył sobie na świecie Aristrach Piotrowicz Kuzkin z żoną Wierą Siergiejewną... — zaczyna opowieść Szukaszyn. — Właściwie czas przeszły jest tu niepotrzebny, gdyż Kuzkinowie żyją do dzisiaj. I właśnie chcę wam opowiedzieć o ich życiu i o nie przewidzianym, smutnym wydarzeniu, które spotkało Kuzkinów oraz ich przyjaciół.”

(...) Aristrach zaprosił gości — pięciu mężczyzn. Zastawili biurko butelkami szampana, koniaki i puszkami kawioru... W pokoju było ciemno od dymu i głosu. Zdaje się, że opiali jakis interes, może z oponami samochodowymi, bo w przedpokoju leżało pięć nowłutkich opon. Wiera Siergiejewna walczyła z pijanstwem męża i nie chciała uczestniczyć w żadnych libacjach. Siedziała w swoim

Wasił Szukaszyn — aktor, reżyser i scenarzysta filmowy, prozak i dramaturg — zajmuje własne, wybitne miejsce w historii współczesnej sztuki radzieckiej. Był człowiekiem wielkiej pracy i wielkiego talentu, spała go niespokojny ogień i spalił o wiele przedwcześnie.

Teatrem zajął się Szukaszyn dopiero u kresu swej drogi, a przecież i w tej dziedzinie pozostawił parę dzieł znaczących. Prapremiera „Ludzi energicznych” odbyła się w roku 1974 — ostatnim roku życia pisarza — który zdążył jednak przed śmiercią obejrzeć adaptację sceniczną swoich „Charakterów” i napisać dwie kolejne opowieści teatralne: „Gdy przebudzą się rano” i „Nim trzeci kur zapieje”.

Przytaczam te dane ze znakomicie zredagowanym przez Teatr Powszechny programem, z którego widać dowie się o wiele więcej o niezwykle osobowości Szukaszyna, sądzę wszak że jedna najważniejsza sprawa domaga się dodatkowego wyjaśnienia. Twórca — pamiętajmy — wyrósł z filmu, wszelkie formy filmowej dramaturgii były mu w naturalny sposób bliskie, przeto i jego „opowieści teatralne” postąpiły swoistym zapisem, bez podziału na akty i sceny, bez wydzielonych dialogów, a także bez branżowych w starannie zaznaczane nawiasy didaskaliów. „Ludzi energicznych” czyta się łatwo, prawie jak opowiadanie, wlernie przeniesie rzecz na scenę jest zapewne o wiele trudniej.

„Żył sobie na świecie Aristrach Piotrowicz Kuzkin z żoną Wierą Siergiejewną... — zaczyna opowieść Szukaszyn. — Właściwie czas przeszły jest tu niepotrzebny, gdyż Kuzkinowie żyją do dzisiaj. I właśnie chcę wam opowiedzieć o ich życiu i o nie przewidzianym, smutnym wydarzeniu, które spotkało Kuzkinów oraz ich przyjaciół.”

(...) Aristrach zaprosił gości — pięciu mężczyzn. Zastawili biurko butelkami szampana, koniaki i puszkami kawioru... W pokoju było ciemno od dymu i głosu. Zdaje się, że opiali jakis interes, może z oponami samochodowymi, bo w przedpokoju leżało pięć nowłutkich opon. Wiera Siergiejewna walczyła z pijanstwem męża i nie chciała uczestniczyć w żadnych libacjach. Siedziała w swoim

Muzyka a dziecko. Związki mogą tu być rozmaite. Są m.in. utwory komponowane przez dzieci, czego przykładem dorobek kilku- i kilkunastoletniego Mozarta. Twórcy już wówczas aktywnego i dojrzałego (czy jego utwory były dla dzieci? Czasem tak, a czasem — nie; mając 12 lat zaczął pisać przebieg „normalne” opery). Kompozycje dorosłych bywają dla dzieci lub o dzieciach. W pierwszym wypadku mogą to być utwory pedagogiczne (np. etudy Czernego), ale też i dziełka

informowaliśmy wcześniej), przedstawili swe utwory ponad 40 dorosłych twórców współczesnych starszej i młodszej generacji. Doświadczonych i mniej doświadczonych w przeciwnieństwie do pierwszego festiwalu sprzed dwu lat, z natury rzeczy „remanentowego”, tu prawie wszystkie spośród zaprezentowanych 150 kompozycji były prawykonaniem (nawijając do uwag wstępnych — przeważały utwory „autonomiczne”, tzn. nieściśle pedagogiczne).

Czy wszyscy twórcy zasłużyli na to, aby znaleźć się w programie? Chyba nie. Ot, pozwolił sobie wymienić w tym miejscu Grażyna Krzanowską z Katowic. Jej smyczkowe Trio to przecież bezwzględnie pokaz złego smaku, pseudoawangardowości (jakiś prymitywny niby to punktualizm), żenujące ubóstwo techniczne. Szkoda! Ano coś na festiwalach muzyki współczesnej o podobny casus nie trudno (wspomnę pamiętny skandal na koncercie finałowym tegorocznej „Warszawskiej Jesieni”, gdzie publiczność dosłownie przeważyła pewne „dzieło”). Zwiększyć czujność muszą niewątpliwie komisje repertuarowe. Na DO-RE-MI były także utworki nie dopracowane częściowo — myślę np. o piosenkach z mizernymi aranżacjami akompaniamentów realizowanych przez dziecięce zespoły perkusyjne.

Nie zamierzamy, rzecz jasna, przedstawiać szczegółowej relacji z wszystkich 7 koncertów: inauguracyjnego w Teatrze Wielkim dalszych w szkole muzycznej przy ul. Sosnowej, jak również z imprez towarzyszących (ale na wszystkich z nich zresztą byłem). Nie brakowało kompozycji dobrych, stanowiły one większość (była więc i prostota, ale nie kosztownością), zaś pewne wykonania mogły nawet zaimponować. Kłaniam się m.in. nisko orkiestrze Liceum Muzycznego z Katowic zespółowi ZHP z Warszawy, wielu łodzianom. Te plusy zdecydowały o randze festiwalu. Trudno wymienić wszystkich wykonawców — zespoły i soliistów nie sposób też podawać tytułów choćby samych tylko piosenek, które przypadły mi do gustu (chyba, że... no właśnie — czy aby swymi „Bajkami pana Jachowicza” inżynier Jerzy Wasowski nie zakasował co poniektórych ma-

gistrów kompozycji?). Żeby nie być natomiast zupełnie goloślowym, odnotuję przynajmniej szczególnie interesujące kompozycje z grupy form większych. „Czerwone i czarne” Jerzego Baugera — utwór na fortepian z orkiestrą, pełen dynamizmu, kontrastów kolorystycznych, przejrzysty w budowie, zawierający nie tak znów typowe dziś elementy pracy mowy muzycznej. No i Andrzeja Hundziaka baśń estradowa „O królewnie co spać nie chciała” do słów J. Harasymowicza (na

trzecim, a nawet czwartym festiwalu. Ja też nie śpieszyłem się z wnioskami. Chociaż określone korzyści są już widoczne. Na pewno zwiększyło się zainteresowanie naszymi kompozytorami, zwłaszcza docenianą przedtem dziedziną twórczości; drukowanie nut z DO-RE-MI (wydanie też płyty) pozwala z kolei upowszechniać najcenniejsze pozycje repertuarowe. Oddziaływanie imprezy zwiększyło obecność w tym roku obserwatorów z zagranicy.

Dzieci i młodzież garną się

do muzyki. Jest to skłonność spontaniczna. Ważne, by dać im ofertę bogatą i różnicowaną, by ich „mała” muzyka była w miarę możliwości wielka. Zdając sobie sprawę z tego, że — jak powiedział animator imprezy, Andrzej Hundziak: „Festiwal DO-RE-MI nie rozwiązuje problemu wychowania muzycznego dzieci i młodzieży” — należy jednak podkreślić, iż brak dziś tego festiwalu oznaczałby już tylko pewnie marsz do tyłu.

JANUSZ JANYSZ

## IDEA I MIECZ

## BOHATER SIEDZI NA WIDOWNI

## DO RE-MI POWTÓRNIE



Foto: J. Praja

GRZEGORZ GAZDA

Ciesząc się dużym powodzeniem u publiczności meksykańsko-amerykański film „Sanchez i jego dzieci” jest bez mała modelowym przykładem tego jak z wielości intencji, postaw twórczych i wpływów po-

mieszkańcy i ich nędza, życie zamknięte w specyficzne barwy egzystencji, pełnej podłudniowego temperamentu, zbiorowości, nie różnią się wiele od obrazów, których współ-

obyczajowe i psychologiczne obserwacje to- ną bowiem w banalnym, melodramatycz- nym sosie, który podważa programowe za-

MEKSYK I INNI

tość”, uczynił swym programem. Myślę o własnym doświadczeniu amerykańskiego ki- na ostatnich kilkunastu lat. Śladów tego

Uwagi odnoszące się do stałej w tym fil- mie huśtawki pomiędzy precyzywną praw- dą życia, a konwencjonalnymi formami

Wystawę tę przygotowało Centralne Muzeum Rewolucji ZSRR w Moskwie dla Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyj- nego w Warszawie i po ekspozycji w Muzeum X Pawilonu Cy- tadeli Warszawskiej staraniem dyrektora łódzkiego Muzeum

SZTUKA DOKUMENTUJĄCA RZECZYWISTOŚĆ

torcją jest radziecki komisarz wystawy Galina Iwanowna Wiedziernikowa — pracownik Centralnego Muzeum Rewolucji ZSRR, zaś współautorami łódzkiej prezentacji — dyrektor Muzeum Ru- chu Rewolucyjnego Izidor Hałas i komisarz Wanda Ptaszynska.

Wystawę tę tworzą dzieła pochodzące z końca lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku, lat bezpośrednio rewolucyjnych 1905—1907 oraz późniejsze, powstałe z okazji rocz- nic tej rewolucji w państwie radzieckim po zwycięstwie rewolucji 1917 roku w okresie lat od 20 do końca pięćdziesiątych.

W malarstwie szczególną uwagę zwracają obrazy znanych, wielkich twórców realizmu rosyjskiego, dziewiętnastowiecznego, z kręgu grupy „pieriedwiżników”.

„Śmierć przesiedleńca” — obraz pędzla Siergieja W. Iwanowa pochodzący z 1893 r. w grupie siedmiu obrazów tegoż autora wydaje się najciekawszy, przedstawia tragedię śmierci człowieka w nieograniczonym zakresie stepu. Wartość tego obrazu jest bezsprzeczna, jednoczy on bowiem w sobie malarskie piękno i prawdę poznawczą przedstawionej sytuacji.

Związek wartości poznawczych, treści historycznych i społecznych z wartościami estetycznymi jest właściwością wielu innych dzieł udostępnionych odbiorcy. Zaliczyć do nich można pozostałe obrazy S. W. Iwanowa, 7 obrazów Nikołaja A. Kaszina, a wśród nich te, które przedstawiają górników z Donbasu, gdzie przez kilka lat przebywał artysta i poznawał realia górniczego życia, aby móc oddać je wiernie w malarstwie, dwa obrazy Siergieja A. Korowina, którego płótno „Przed chłostą” z 1884 r. mogłoby być uznane za idealny typ malarstwa realizmowego końca XIX wieku oraz 4 obrazy Ilii J. Riepina.

Riepin podarował je (w grupie około 40 obrazów) w latach dwudziestych Centralnemu Muzeum Rewolucji ZSRR. Te, które znalazły się na wystawie, pochodzą z lat 1902—1906. Ilię Riepina znamy, jako wspaniałego malarza realizmu historycznego, obrazy pokazane w Łodzi są zaskakujące. Ich forma odbiega od konwencji dziewiętnastowiecznego realizmu. Bliska jest symboliz- mowi — „Szubienica carska” — 1902 r., ekspresjonizmowi — „17 października 1905” — 1906 r., „Czerwone pogrzeby” — 1906 r., Obraz Władimira J. Makowskiego „9 stycznia 1905 r.” ukazuje „krwawą niedzielę”, jest świadectwem artystycznym tej rewolucji. Autor był nie tylko świadkiem wydarzeń rewolucyjnych, ale także ich uczestnikiem.

Ekspozycja stanowi wyjątkowy rodzaj przekazu muzealnego, w którym skupiły się prezentacje autentycznych wartości poznawczych i estetycznych, historycznych i społecznych. Obecność w tej sztuce realiów życia Rosji z lat przełomu XIX i początków XX wieku jest tak duża, że mogłaby być uznana za źródło poszukiwań informacji dla kostiumologów i znawców broni.

Wystawa czynna jest do końca listopada br., po czym zostanie przewieziona do Sofii. Warto więc ją zobaczyć. Jest ona niecodzienną lekcją historii.

MARIA KUPIŃSKA



S. A. Korowin „Przed chłostą” — 1884 r.

MŁODOŚĆ TRIUMFUJĄCA

Nieczęsto się spotyka w programie koncertu symfonicznego takie zestawienie różnorodnych elementów, jak w ostatni piątek w Filharmonii Łódzkiej. Z odwagą i brawurą cechująca młodość, Ewa Michnik zmierzyła się tego wieczoru (powtarzanego, jak

więc oczywiście o gruntownym muzycznym przygotowaniu, a to otrzymała Ewa Michnik jak najstaranniejsze, robiąc na krakowskiej uczelni aż po- trójny dyplom. Od tego czasu, przez blisko dziesięć lat dyrygowała w kraju i za granicą dużo i z powodzeniem, o-

drobne niedokładności wykonania, dostarczył nam wielu wrażeń, co zawdzięczamy też w dużej mierze orkiestrze naszej filharmonii i, gościnnie występującemu, łódzkiemu zespołowi Bel Canto, przygotowanemu przez Kazimierza Dębskiego oraz piątce solistów.

Młodzi śpiewacy, obdarzeni pięknymi głosami i o dużych umiejętnościach wokalnych, mimo zdarzających się im drobnych potknięć w trudnych zresztą technicznie partiach, śpiewali na ogół stylowo. Wyimkami są barytony Wojciecha Jana Śmietany i zdecydowanie „profondo” naszego Włodzimierza Zalewskiego oraz barytona Jerzego Mechlińskiego, który barwą głosu i sposobem emisji odbiegał zbytnio od pozostałych.

Osobne słowa, bynajmniej nie przez kurtuazję dla dam, należą się jedynaczce kwintetu, Ewie Podleś, słyszanej w Łodzi po raz pierwszy. Ta bardzo jeszcze młoda śpiewaczka, o pięknym mezzosopranie, odznaczającym się zarówno dużą czystością skali, jak i soczystym timbrem, a przy tym o „wybitnych już umiejętnościach koloraturo- wych i wrodzonej muzykalności, ma z pewnością wszelkie dane do międzynarodowej kariery, którą bodaj już zaczyna robić.

JERZY KWIECIŃSKI

zwykle, następnego dnia) z formą oratoryjną, z koncertem solistycznym i jeszcze — jak- by tego było mało — z utworem orkiestrowym. Użyły do tego celu aparat wykonawczy był też odpowiednio potężny i złożony — soliści kwintetu wokalnego, pianista, chór, no i orkiestra. Pełna energii i temperamentu pani dyrygent, o szczupłej sylwetce, odzianej w czarny frakcek, nie uległa się jednak rozpetany przez siebie żywiołów.

Dyrygentura, jak wiadomo, jest ciągle jeszcze męskim zawodem, wymagającym nie byle jakiej kondycji fizycznej i psychicznej odporności, nie mó-

statnio jednak jej stałym miejscem pracy jest macierzysta uczelnia.

Już w pierwszym utworze w oratorium osiemnastowiecznego kompozytora niemieckiego Johanna Adolfa Hassego, (w Polsce dziś prawie nie znanego, mimo iż za Sasów, związany z ich dworem, był u nas bardzo popularny) — „Nawróce- niu św. Augustyna” dyrygentka wykazała duży stopień sprawności technicznej i, co ważniejsze, zmysł konstrukcji, niezbędny do prowadzenia tak ogromnego dzieła, które, mimo poczynionych skrótów trwało i tak godzinę plus dzie- sięć minut. Utwór, pomijając

szuk Czechowa: „Platonów”, „Mewa”, „Wujaszek Wania”, „Trzy siostry” i „Wielkiy sad”. Wszystkie one grywane były na naszych scenach, choć często i znaną są niewątpliwie czytelnikowi. Ale doskonale ich przygotowanie edytorskie, świetne tłumaczenia i obszerny wstęp opracowany przez Renę Słiwowskiego sprawiają, że książka ta stanie się niewątpliwie cenną pozycją w domowej bibliotece.

Antoni Czechow, „Wybór dramatów”, przekład: „Platonów” — Adam Tarn, „Mewa” — Natalia Gałczyńska, „Wujaszek Wania” — Jarosław Iwaszkiewicz, „Trzy siostry” — „Wielkiy sad” — Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. Opracował René Słiwowski, „Ossolinum”, Wrocław 1979, str. 299, cena zł 70.

ROK, ROK, ROK...

W dalekiej Armenii, w niewielkiej osadzie, oddalonej od stołecy republiki o kilka godzin jazdy podziemnym, pracuje w mi- scowym szpitalu i przychodził starszy doktor. Zaczął pracę w os- adzie tuż po studiach, przed czterdziestą laty. Zdażył się, przez spóźnienie, pojawić się młoda dziewczyna, także jak on kiedyś śmiał na studiach, pełna zapału i książkowej wiedzy.

Historia typowa, nieco nalwana; konflikt między starym, za- stędziałym lekarzem i przyzwyczajonym do niego pacjentami, a młoda, energiczna, niedoświadczona dziewczyna. Ale tak jest zostało wiele prawd o pracy, ludziach, obowiązkach wobec społeczeństwa i odpowiedzialności za swoje życie. Konfrontacja dwu pokoleń ukazuje ogromne podobieństwa między nimi. Zarówno dla doktora, jak i dla Norwy prace i odpowiedzialność za życie i zdrowie innych ludzi jest wartością nadrzędną. Każde z nich, z innych powodów i w innych warunkach historycznych, podję- ło studia medyczne i z innych pobudek przyjechało do pracy na

powinął. Każde z nich — doktor przez całe czterdzieści lat, a Nora od pierwszej chwili — traktuje tę pracę jako coś prze- ścierającego. Marzą o świetnie wyposażonych klinikach w wielkich miastach, o bogatym życiu towarzyskim, licznych rozrywkach. Ale w momencie, gdy mają możliwość zrealizowania tych mar-zeń, każde z nich wraca na wieś, gdzie czuje się naprawdę potrzeb- nym.

Zorari Chalfan, „Rok, rok, rok...”, przekład Andrzej Gacka, PIW, W-wa 1979, str. 279, cena zł 30.

SYMULANTKA

Ingeborg Bachmann zadebiutowała jako poetka w 1953 roku i jej dorobek piśmi, to w głównej mierze poezja. W tomie „Symulantka” odnajdujemy motywy znane już z wcześniejszych utworów piśmi. Przedstawione tu losy pięciu wiedeńskich są jed- nym z nielicznych wariantów tych samych przeżyć, tu doświad- czeń, przeżyć zresztą w bardzo różny sposób. Czasem na ja- wie, czasem we śnie. Autorka mieszka kolejno w Tatoi, często powraca też jeszcze do już opisanych. Analizuje je i tłumaczy na nowo. Technika narracji jest idealnie dobrana do tego typu pi- sarsstwa. „Symulantka” napisana jest w tonacji ścisłej. Są to na polu sztuki obyczajowe, na polu psychologiczne etudy mó- wiące o miłości i samotnym starzeniu się kobiet, o ich puscie i falowym bezsensownym spędzaniu czasu w postukiwaniu mi- łości, całym wracaniu do przeżyć, które już wydarzyły się.

Książka w sumie interesująca, ale należy się przyzwyczaić do jej sposobu narracji, bo początkowo może wydawać się monoton- na, nieciekawa, po prostu nudna.

Ingeborg Bachmann, „Symulantka”, przekład Anna M. Linke, Czytelnik, W-wa 1979, str. 251, cena zł 32.



WYBÓR DRAMATÓW

Antoni Czechow, najbar- dziej znany w Polsce o- bok Mikołaja Gorkiego i Maksyma Gorkiego dra- matuista rosyjski. Pisanie zaczął dość wczesnie. Po- czątkowo były to luźne kontakty z niemieckimi hu- morystycznymi. Ale już w latach 1884—1885 powstały opowiadania, które są ar- cydziełami sztuki satyrycz- nej („Śmierć urzędnika” i „Kameleon”), w tym też czasie, a i później, zajmował się krytyką. Jako dramaturg zadebiutował, będąc jeszcze studentem, sztuką „Bez szczeniaka”, która w Polsce ukazała się w „Dialogu” w 1980 roku pt. „Platonów”.

Wszystkie sztuki Czechowa nasycone są osobliwym nastrojem. W sposób mistrzowski pokazuje tragedie ludzi samotnych, obcych wobec siebie, ludzi bezradnie słabych, których wszelkie dą- żenia i nieśmielkość rozplywa się w obeszła, niejasnym senty- mentalizmie. Mała ona także wyjątkowa kompozycja. Przy- zornie prostotę odkrywa całą złożoność i dramatyzm uczuć, postaw, czynów.

Przygotowany przez „Ossolinum” wybór dramatów zawiera pięć

Sześćdziesiąt lat temu, niemal nazajutrz po odzyskaniu niepodległości, ogłoszono dekret o archiwach państwowych. Przypominając tę rocznicę, bardzo ważną dla archiwistyki polskiej, zwołano w Łodzi sesję naukową poświęconą problemom archiwum.

Nie będzie wiele przesady w stwierdzeniu, że zgromadzone zasoby akt, dokumentów, druków, ulotek i gazet są swego rodzaju Bankiem Pamięci Narodowej. To z tego banku współczesność czerpie wiedzę o czasach minionych.

Polska archiwistyka ma stare tradycje. Pierwsze polskie archiwum powstało już w wieku XIV, nazywało się Koronne i znajdowały się w nim dokumenty wyodrębnione ze skarbca na Wawelu. Potem — już w Warszawie — powstało w 1808 roku Archiwum Ogólne Królestwa, które istnieje do dziś pod nazwą Archiwum Akt Dawnych. Oczywiście istnieje w zupełnie innej formie. Wojna zniszczyła ponad 90 proc. zasobów dawnych akt. Działająca AAD jest odbudowana dzięki ofiarności społeczeństwa, dzięki darom z prywatnych zbiorów.

Myszę, że z okazji obchodzonego co roku Tygodnia Archiwów, warto czytelników zachęcić do sporządzenia własnych, rodzinnych zbiorów dokumentów. Z czasem i one bowiem nabiorą wartości historycznej, przestaną być sentymentalną

pamiętką. Tak jak jest dziś historycznym dokumentem stary list z epoki przedznaczkowej, jak jest dokumentem historii stary dyplom mistrzowski łódzkiego rzemieślnika czy rodzinna fotografia sprzed wieku.

## BANK PAMIĘCI NARODOWEJ

Gdyby nie te prywatne, rodzinne zbiory, nie zdołalbymy odbudować zniszczonego prawie doszczętnie Archiwum Akt Dawnych.

Mamy dziś w Polsce całą sieć archiwów państwowych, ale przecież powiększają się one także o zasoby ze zbiorów prywatnych. Przejrzałem informator Wojewódzkiego Archiwum w Łodzi i widzę, że są tam także zbiory rodzinne — Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów, prof. Tadeusza Hilarowicza, Włodzimierza Pfeiffera, prof. Zielińskiego. Łódzkie archiwum wzbogacić się także o inne — tematycznie — zbiory, kompletowane latami przez ludzi ogarniętych pasją ocalania i zapamiętania i zniszczenia ulotnych dokumentów, minionych dzieł.

W roku 1919, zgodnie z dekretem o organizacji archiwów polskich, rozpoczęło swoją działalność Archiwum Państwowe w Piotrkowie Trybunalskim — dawnej stolicy guberni. Organizatorem i pierwszym dyrekto-

rem był dr Adam Próchnik. Łódzkie archiwum jest bezpośrednim spadkobiercą tamtych tradycji i posiadaczem zapoczątkowanych tam zbiorów.

Archiwum Państwowe w Łodzi, już jako jednostka samodzielna, liczy sobie 30 lat; zorganizowane jest w roku 1949. Początkowo była oddziałem placówki piotrkowskiej, od roku 1950 uzyskała samodzielność.

Oczywiście dzieje Archiwum Miejskiego w Łodzi kształtowały się inaczej. Jak pisze Alojza Zebrowska w swoim szkicu, akta władz miasta Łodzi, powstałe w XIX wieku, narastały systematycznie po odzyskaniu niepodległości. Niestety, zdarzało się wówczas i tak, że z braku miejsca sprzedawano cenne akta na... makulaturę. Wreszcie, 26 stycznia 1926 roku rozpo-

częło działalność Archiwum Akt Dawnych Miasta Łodzi. Pomieszczone je tam, gdzie jest do dziś — w budynku dawnego ratusza przy placu Wolności.

Wojna obeszła się dość łagodnie z zasobami łódzkiego archiwum. Co prawda Niemcy wywieźli prawie jedną czwartą zbiorów, ale po wojnie akcja rewindykacyjna przyniosła dobre wyniki i po tej katastrofie można było stwierdzić, że straty nie przekraczają dziesięciu procent.

Obecnie Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Łodzi obejmuje swoją działalnością Łódź z przyległościami oraz województwo sieradzkie. Niestety, od 1926 roku nie uległy większej zmianie warunki lokalowe. Rozproszenie magazynów w różnych częściach miasta powoduje trudności w udostępnianiu akt, a brak wolnych pomieszczeń magazynowych uniemożliwia przejmowanie z archiwów zakładowych dalszych materiałów.

Czas więc o tym pomyśleć, nie tylko przy okazji rocznicy dekretu o archiwach i z racji Tygodnia Archiwów Polskich. W magazynach tej instytucji nie leżą nikomu niepotrzebne papierzyska, ale zakodowana jest historyczna pamięć o dziejach narodu.

WIDOK

## MIECZYŚLAW WOŹNIAKOWSKI



Jak on koło tego chodzi,  
By towarzystwo dobre dać Łodzi.

Rys: Stanisław Ibis Gratkowski  
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

## PARADOKSY

Jak się uważnie obserwuje sportowe życie, to można dostrzec w nim nie tylko prawidłowości, ale i paradoksy, które są od tych prawidłowości odstępstwem. Oto kilka z nich.

Na ogół utarło się tak, że w dużych ośrodkach są duże i dobre kluby. Czy ich drużyny są zawsze na najwyższym poziomie, to już inna sprawa. Ale kluby są duże. W małych miastach kluby są słabe. Zdarzają się jednak wyjątki. Choćby Nowy Targ, gdzie od wielu lat istnieje i rozwija się hokej. Drużyna Podhala Nowy Targ wielokrotnie osiągała najlepsze wyniki w kraju. Ale młodzi chłopcy rozpoczynający sportową karierę w Nowym Targu marzą nieustannie o przeniesieniu się do innych, większych miast, gdzie miełby inne warunki życia i startu. Tak więc, to co jest siłą nowotarskiego Podhala — praca z młodzieżą, wychowywanie młodych, zdolnych hokeistów, jest jednocześnie słabością tego klubu.

Panuje także przekonanie, że jak z drużyny odejdzie kilku dobrych, doświadczonych zawodników, to spada poziom gry tej drużyny. Z Podhala stale odchodzą dobrzy, doświadczeni zawodnicy. Ostatnio znów odeszli trzech. Mogłoby się wydawać, że po takim osłabieniu Podhale nie odegra większej roli w ligowych rozgrywkach hokeja. W pierwszej drużynie nowotarskiego Podhala zaczęło bowiem grać od razu kilku juniorów. I zaskoczenie. Podhale zostało liderem, a juniorzy spisują się nie gorzej niż ich starsi koledzy.

A może to żaden paradoks? Może właśnie tak należy postępować? Pamiętajmy przecież, że w innej dyscyplinie, w pilce nożnej, opolska Odra też odsunęła od gry doświadczonych, acz niechętnych większym wysiłkom piłkarzy i wcale źle na tym nie wyszła.

Polali się łyż rzęście nad przegraną naszych piłkarzy, którzy jak wiadomo wypadli z wszelkich eliminacji, a i w lidze spisują się nie najlepiej. Jakaż to strata dla sportu. Ale w tym czasie piłkarze ręczni zajęli drugie miejsce w Pucharze Świata i przeszło to jakoś bez większego echa. Telewizja pokazała ostatni mecz. Zawodnicy się z tego ucieszyli, jako że telewizja piłką ręczną wiele się nie zajmuje. Wyobraźni sobie, jak to dzieciaki śiadają przed telewizorami, aby oglądać tatusiów.

Może istotnie nie byłoby po co zajmować się piłką ręczną, gdyby nie fakt, że w końcu jest to brązowy medalista z ostatniej olimpiady, który przede wszystkim swoją pozycję, pokonując w czasie pucharowych eliminacji olimpijskich mistrza — drużynę RFN. A poza tym jest to ciekawe widowisko, warte popularyzacji poprzez telewizyjny ekran.

Prawdziwym kibic zawsze życzliwym okiem spojrzysz na każdą dobrą, sportową walkę i zrezygnujesz z partanii. Nie przypadkiem więc piłkarskie stadiony świecą ostatnio pustkami. Kibic interesuje się swoimi ulubieńcami, ale nie lubi, kiedy oni go lekceważą. Kibic zna zawodników, mniej interesuje się działaczami. A przecież sport bez działaczy istnieć nie może. Muszą być ludzie, którzy będą zajmowali się tym wszystkim, co stanowi o warunkach uprawiania sportu. Inna już rzecz, jak te warunki są wykorzystywane przez zawodników.

O działaczach sportowych wie się na ogół tyle, że są i że się często zmieniają, bo jakoś nie dają sobie rady z opornymi sportowcami. A tu znów paradoks. Jest dyscyplina sportowa, w której prezesem od 20 lat jest ten sam człowiek. Tym człowiekiem jest Janusz Przedpełski. Od 20 lat jest on prezesem Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów. Mało tego. Jest on jednocześnie wiceprezydentem światowej federacji ciężarów. Ale i to mało. Ciężarowcy bowiem od lat spisują się dobrze, a ostatnie z Mistrzostw Świata w Salonikach też przywieźli medale.

Natomiast bardzo źle wypadły polskie szaneczarki w Oberhofie. Najlepsza Polka, Teresa Kruczek zajęła dwudzieste miejsce. W Oberhofie startowała też — ale jako gość zawodów — Teresa Bugajczyk, która zajęła trzecie miejsce. Wedle opinii trenerki szaneczkarów, Elżbiety Pietruszewskiej — zawodniczka „Śnieżki”, Teresa Bugajczyk również na treningach była lepsza od tych, które zostały powołane do kadry. Okazuje się więc, że czasem obok dobrych zawodników potrzebni są też dobrzy i mądrzy działacze. Być może wtedy będzie mniej paradoksów w sportowym życiu.

BOGDA MADEJ

## PROPOZYCJE

Często odwołujemy się do zdrowego rozsądku albo do chłopskiego rozumu. Co to jest zdrowy rozsądek? Specjalnie nikt się nad tym nie zastanawia, ale kiedy tylko trzeba zaraz wola do pomocy zdrowy rozsądek. Często zamiast argumentów.

Gdyby się trochę zastanowić, to można dojść do wniosku, że zdrowy rozsądek to nie innego, tylko taki sposób myślenia, który w różnych warunkach i procesach dokazuje się w sposób przyczynowo-skutkowy oraz wewnętrznej logiki. Mówiąc inaczej, jest to myślenie, w którym odrzuca się schematy. Jest to więc coś bardzo pożytecznego.

Nie zawsze jednak ten, kto powołuje się na zdrowy rozsądek daje przykład myślenia nieschematycznego, dowodzi że umie dostrzec wewnętrzną logikę w danym zjawisku czy procesie. Czasem po prostu wygodnie jest zasłonić się zdrowym rozsądkiem, takim argumentem-wytrychem, który polemizom zatyka dech w piersiach i odbiera chęć do dalszego polemizowania.

Pisałiśmy niedawno w „Załączniku” o pewnej pabianiczanke, która kupiła w pabianickim Spółdzielczym Domu Handlowym dwa przecenione termosy. W domu stwierdziła, że ów towar niepełnowartościowy nie trzyma ciepła i pobiegła do SDH, aby oddać jej pieniądze, choć były to pieniądze niewielkie. W sumie 20 złotych za dwa niepełnowartościowe termosy. W biurze SDH dowiedziała się, że pieniądze za towar niepełnowartościowy nie zwraca się, a poza tym od takiego towaru nie można więc oczekiwać. Klientka pabianickiego SDH biegła więc po Pabianicach i pytała, co to jest towar niepełnowartościowy? Zycie Pabianic, do którego zwróciła się z tym pytaniem, też nie potrafiło dać odpowiedzi.

Sprawa towaru niepełnowartościowego wróciła wszakże na łamy „Zycia Pabianic”. Redakcja otrzymała odpowiedź SDH w Pabianicach i nie tylko ją opublikowała, ale dała jeszcze do niej komentarz, który nosi wymowny tytuł: „JESZCZE O TERMO-

SACH, czyli RZECZ O ZDROWYM ROZSĄDKU”. Z odpowiedzi SDH można dowiedzieć się, co to jest towar niepełnowartościowy.

„W SDH w Pabianicach wiele towarów w poszczególnych stoiskach i w punkcie reklamacyjnym podlega przecenieniu, na skutek częściowego uszkodzenia, wybrudzenia lub zniszczenia. Towary te każdorazowo oznaczane są napisem: przecenione. Nigdy do sprzedaży nie są wprowadzane towary, które nie posiadają żadnej wartości handlowej”.

A jak było w przypadku termosów?

„W przypadku termosów (...) zostały one przecenione z uwagi na to, że wkłady nie utrzymywały ciepła lub były potłuczone.

ów, by kupowali przecenione termosy” — pisał pabianicka gazeta. „Jeśli ktoś takowe kupił zrobił to na własne ryzyko”. I donosi że „dużo ludzi cieszyło się z tego zakupu, ponieważ od dawna bezskutecznie poszukiwano na przykład zakrętki, która popękała (...) albo korka...”. I dodaje, aby nie było wątpliwości: „Przepraszyamy SDH, za zawarte w notatce przesłanie...”

A gdzie tu zdrowy rozsądek? Czy jak potrzebna mi jest zakrętki, to muszę kupować całą resztę obudowy termosu? A może komuś brakuje kubka? Czy jeśli już pabianicki SDH chce robić frajdę klientom, to nie może sprzedawać wybrakowanych termosów rozdzielonych na części? A poza tym, jeśli termos jest dobry, a tylko brakuje mu dobrego wkładu, to dlaczego kosztuje 5 albo 15 złotych? Czy SDH nie może samo wymienić wkładu i sprzedać ten termos jako towar pełnowartościowy? I dlaczego to ja zadaję te pytania, a nie „Zycie Pabianic”, do którego klientka SDH zwróciła się o pomoc, a które wzięło w obronę SDH?

Więc, gdzie tu jest zdrowy rozsądek? I aby już było zupełnie dziwne i SDH i „Zycie Pabianic” spokojnie stwierdzają, że ludzie od dawna poszukują części do termosów, ale z faktu tego nie wyciągają żadnych wniosków. Teraz powinniśmy napisać o częściach zamiennych, o tym, że brakuje ich nie tylko do termosów, ale uważam to za żebną, gdyż wiedza o tym wszyscy Być może przydałoby się takie sklepy, w których sprzedawano by niepełnowartościowe towary rozebrane na części, ale o tym też powinniśmy pomyśleć sami handlowcy, którzy przecież wiedzą, o co najczęściej pytają klienci, czego szukają. Tylko, że z tym byłoby sporo kłopotu, a kto lubi dodatkowy kłopot. Dużo przecież łatwiej całe ryzyko przerzucić na klienta, niech on się martwi.

Więc, po co wspominać o zdrowym rozsądku?

MARCIN RODAK

## CO TO JEST ZDROWY ROZSĄDEK?

Nie uszkodzone były natomiast obudowy, korki i zakrętki. W związku z tym należało tylko wymienić wkład, aby termos był użyteczny”.

Prosta, nie? Tym bardziej że: „... w handlu dostępne są zapasy wkładów do termosów różnych typów, podczas kiedy nie można dokupić np. korków plastikowych i zakrętek”.

SDH w Pabianicach zrobiło więc swoim klientom niebywałą wygodę, umożliwiając im kupowanie obudowy za bezcen. I dlatego:

... przecenione termosy, które klientka zakupiła w SDH nie były bułkami, a jedynie towarami przecenionymi”.

„Zycie Pabianic” nawet się z takiego tłumaczenia ucieszyło. „Nikt nie zmuszał klien-

ty, by kupowali przecenione termosy” — pisał pabianicka gazeta. „Jeśli ktoś takowe kupił zrobił to na własne ryzyko”. I donosi że „dużo ludzi cieszyło się z tego zakupu, ponieważ od dawna bezskutecznie poszukiwano na przykład zakrętki, która popękała (...) albo korka...”. I dodaje, aby nie było wątpliwości: „Przepraszyamy SDH, za zawarte w notatce przesłanie...”

## LEWYM OKIEM

Bogatemu diabeł dziecko kołysze. Tak twierdziło kiedyś przysłowie ludowe, a sens był taki, że jak komuś zaczyna się powodzić — to już wszystko mu sprzyja, wszystko pcha się do rąk.

Samochód jest dobrem, które chyba nigdy nie będzie dostępne dla wszystkich bez wyjątku. Może nawet nie powinno być, bo gdzie byśmy pomieścili tych kilkanaście milionów maluchów, nie mówiąc o przepychankach na szosach i ulicach miast. Nabycie wozu jest i pozostanie wyróżnikiem ludzi o dochodach wyższych niż średnia krajowa — no i dobrze, bo wreszcie jeśli różnicujemy dochody, to i nabywane dobra muszą być różne.

Posiadanie samochodu daje niejako automatycznie mnóstwo przywilejów, niedostępnych piechurom. Można się wygodnie, na siedząco „przemieszczać”, można jechać nawet w sezonie nad morze, gdzie pociągami dojeżdżają tylko masochiści. Można wybrać się w teren po miód, po owoce i po zajaczkę. Oczywiście pozostają jeszcze przyjemności niewymierne — zadawanie szyku odblokowywanie kompleksów: mieliście mnie za fujare a to ja mam fiata nie wy! Można czasem poderwać dziewczynę, jako że najbardziej męskie cechy to pieniądze i samochód. A więc korzyści są niemałe i chyba

równoważą cierpienia związane z brakiem części, zachłannością fachowców na dodatki, pozacennikami świadczącymi, brakiem parkingów i koniecznością unikania alkoholu.

Nam, ludziom nie posiadającym samochodu, trochę niżej patrzeć na mnóstwo dodatko-

gdzie dostaniecie bigos z czerstwym pieczywem i kawę zbożową pełną twardych, grubych kożuchów. Jakże świat się zmieni, gdy podróżujecie na własnych czterech kółkach! Co godzinę drogi czekając na was komfortowe zajazdy, gdzie ceny są wysokie, ale też nigdy nie

ciach czasowych powstają urzeczywistnienia. Waskie chodniki zastawia się beceremonialnie parkującymi wozami — pomiędzy którymi piechur ledwie że się przecisnąć. Targowiska wyprowadza się gdzieś za rogatki, gdzie bez własnego wozu się nie dostaniecie. Ogródek działkowy staje się dostępnym już tylko dla samozachwiania, tak są daleko zlokalizowane od miasta i tak pozbawione dojazdu. Kto ma samochód — buduje sobie daczę, zbiera grzyby, wekuje. Wolny czas całej reszty rodaków to spędzenie przed telewizorem, może czasem wycieczka z grupą seniorów z macierzystego zakładu.

Nie pałę się do posiadania własnego wozu i nigdy mi na tym bardzo nie zależało. Dlaczego jednak mam być z tego tytułu na gorszej pozycji w zabiegach o wiele innych dóbr i świadczeń? Dlaczego bogatemu diabeł dziecko kołysze, a nam dziecisłko tylko sikają w pieluchę?

CWIEK

## TYLKO DLA ZMOTORYZOWANYCH!

wych, już nie automatycznych profitów, jakie niemałym kosztem stwarza się z myślą własnie wyłącznie o samochodziarzach. Ponieważ jest im lepiej niż nam, to niech będzie jeszcze lepiej. W średnich i małych miastach, jeśli dotrzecie tam publicznym środkiem lokomocji, nie znajdziecie prawie nigdy możliwości przenocowania w godziwych warunkach, a śniadanie, obiad i kolację zjemy w strasznym barze „Sma-kosz”, pełnym zwierzających pokrywkami dymu i turlających się pod nogami butelek, albo najwyżej w barze mlecznym,

ma tkoku. Jest bardzo wytworne, czyściutko, na górze czekają pokoje. Zjeść — i do łóżka!

Nie mamy wyboru: samochód albo inne przyjemności. Wybór wygląda tak: samochód plus wiele przyjemności dodatkowych, albo guzik z petelką. Na samochodziarzy czekają oprócz zajazdów stacje benzynowe, czynne dzień i noc. Na człowieka bez samochodu czekają poza wielkim miastem tylko na glucho zamknięte bramy — szklanki wody nie dostaniecie, o konkrecyjnym pożywieniu nie mówiąc. W wielu miejscowości-

# Załącznik nr. 531.../79

HASŁO NUMERU: Nie wysypiaj się w domu. Co będziesz robił w biurze?

## Coś dla pań

MEDIOLAN. Prywatna stacja telewizyjna w Mediolanie zaprezentowała nowy rodzaj quizu. Zgromadzone w studio panie odpowiadały na zadawane im pytania, a mężczyzna po każdej prawidłowej odpowiedzi zdejmował czepiec przydzwiku. Aby było za-

## WIADOMOŚCI Z DALEKA I BLISKA

bawnej mężczyzna przebrany był za Napoleona. Po ostatniej trafnie udzielonej odpowiedzi mężczyzna stanął przed telewizyjną widownią i pantami zgromadzonymi w studiu tak, jak go dobra Bozia stworzyła.

Czy metoda takiego nagradzania w telewizyjnych quizach przyjdzie się w innych krajach, tego nie wiemy. Ale można się w takie zgadywanki bawić przy-

watnie, choć to już zupełnie coś innego.

## A jednak cud

WEST HAVEN. W West Haven w stanie Connecticut w USA młoda para podczas robienia ślubnych zdjęć wypadła z balkonu na 5 piętrze. Nowożeńcom nie stało

się nie groźnego. Leżą teraz w szpitalu. Wiadomość tę dedykujemy wszystkim sceptykom. A jednak zdarzają się cuda na świecie. Może jakiś cud zdarzy się i u nas.

## Nie do przyjęcia

RIO DE JANEIRO. Brazylijska fiła Volkswagena wypuściła se-

rię samochodów „Passat” napędzanych alkoholem technicznym. Poza tym w Brazylii stosuje się „gazohol” jako paliwo dla samochodowych silników. Jest to mieszanka benzyny i etanolu. Przewiduje się jednak, że za 10 lat wszystkie samochody w Brazylii będą jeździły na czystym alkoholu.

Niektórzy nieśmiało proponują aby nad czymś takim pomyśleć i u nas. Ale jest to propozycja nie do przyjęcia.

Proszę sobie wyobrazić niedzielną wieczór, kiedy po mieście biegają ludzie z bankami, stolkami, butelkami i szukają samochodu z którego jeszcze nie spuszczone „paliwa”. A tam w domu goście czekają... Poza tym upadłyby zbankrutowałyby pokatni handlarze wódka. Nie, to stanowczo nie jest propozycja dla nas.

S. Z. PERACZ

## Z REKĄ NA PULSIE

„W dniach od 21 do 24 października odbędzie się w Poznaniu I Kongres Naukowy Kultury Fizycznej i Sportu” — doniosła swoim czytelnikom „Piłka Nożna”. I nie byłoby w tej wiadomości nic dziwnego, gdyby nie drobnotka „Piłka Nożna”, która powiadomiła o tym swoich czytelników, ukażala się 20 listopada 1979 roku.

To się nazywa trzymać rękę na pulsie.

K. I. Bie



Rys. Edward Bogdański

## Początek „Załącznika”

Zawsze przez „h”

To bardzo dobrze, że wtykacie pomyłki i przeznaczenia „Polityki” w „Załączniku” nr 51 (...) 79. Samiście jednak nie bez winy w tym samym „Załączniku” napisaliście Wejherowo przez „ch”. Biedny Jakub Wejher, założyciel miasta, pewnie się w grobie przewraca. Jako żywo Wejherowo zawsze pisało się przez „h”.  
Tadeusz Grabarczyk

## ORNAMENTATORZY

Wątpliwą ozdobę zafundował sobie Ośrodek Szkolenia Kierowców LOK, wieszając na frontonie swej siedziby przy al. Kościuszki 71... fragment karoserii małego fiata.

Jedną z łódzkich gazet zachwyciła się tym pomysłem, nazywając go „oryginalną reklamą”. My jednak jesteśmy innego zdania. Uważamy bowiem, że fasadzie, a i ścianie szczytowej tego budynku, przydałby się raczej pędzel i solidna dawka świeżego tynku...  
(t.s.)

## MOŻE BYĆ Z BRUDNEJ WODY

ZGR(?) reklamują(e) różne ryby „z najczystszych wód świata”. Jedną z takich reklamowanych ryb jest sardyniela „ryba morska, ciepłowodna, z rodziny śledziowatych, potawiana przez statki rybackie u brzegów zachodniej Afryki... Nie mamy nie przeciwko sardynieli choć bardziej nam smakuje miniaturowy wędźzony, ale to sprawa smaku.

Marzy nam się jednak czasami... karp. Taki zwyczajny, może być nawet z mulistego, a więc brudnego stawu. Może być na słodko, w galarecie, smażony gotowany z warzywami. Czy ZGR przewidują pojawienie się karpia w sklepach Centrali Rybnej? Po karpia bowiem weale nie trzeba płynąć do brzegów zachodniej, ani żadnej innej Afryki. Trzeba go tylko hodować w stawach i sadzawkach.  
Włocławek  
S. M. AKOSZ

## Z uśmiechem lepiej



Rys. Andrzej Adamowicz

## Czyj pseudonim?

W ostatnim numerze „Kultury” w ankiecie pt. „Stolica — jak służy?” ukazała się wypowiedź Bogusława Sztajnerta z Łodzi. W kołach zbliżonych do kogo trzeba mówić, że pod tym wdzięcznym pseudonimem ukrywa się znany łódzki pisarz, ongiś felietonista „Odgłosów” — Bernard Sztajnert. Ale my plotkom nie dajemy wiary.  
N. N.

## OGŁOSZENIA DROBNE

Nie mam wolnego czasu, samochodu, ani gotówki, oczekuję propozycji (Oferty pod „Pechowiec”).

Zarówki przerabiam na świece („Pogotowie energetyczne”).

Trzeci garby dorabiam wielbłodom („Zootechnik”).

Propozycja dla poszukiwaczy i opony firmy Semperit kupić za skarbów:

„Wykrzywcaz metall do 11 metrów sprzedam...”  
A co będzie jeśli zbójcy przemysłnie ukryli skarb głębiej?

Okazał!

„Aktualnie po obniżonych cenach opony i detki firmy Semperit do wszystkich typów samochodów — sprzedaż dewizowa w g. 8-14.”

Czyżby konkurencja dla „Peweku”?

Czy po godzinie 14 można detki skarbów?

## POMYSŁOWY LISTONOSZ

Znajomy z Retkini przyniósł mi zawiadomienie pocztowe, które znalazł w skrzynce na listy, a w którym pomysłowy listonosz zawiadomił go, iż schował list polecony pod wycieraczkę, zwana też niekiedy słomianką. Miejsce to uznal za bardziej bezpieczne dla listu poleconego od skrzynki na listy. W skrzynce na listy obok zawiadomienia włożył zwykły list.

Na dowód tego, że jest to zdarzenie prawdziwe załączam zawiadomienie.

KRZYSZTOF ŚLÓCZYŃSKI

Formularz reklamowy z napisem „dłut pod wycieraczką” i innymi szczegółami.

## KOREK GIGANT

Po wschodniej stronie alei T. Kościuszki na odcinku między ul. Zieloną a Andrzeja Struga tworzą się gigantyczne korki. Niezorientowany łodzianin może spaść w nieuzasadnioną dumę, że są to już korki wielkomiejskie, ale korek gigant na al. T. Kościuszki powstaje z zupełnie innego powodu. Pod koniec września brigady Zakładów Gazowniczych przystąpiły w tym rejonie do wymiany rur. Prace miały zakończyć 24 października 1979 roku.

Minał październik, zaczął się listopad, ale prace trwały nadal. Wyznaczono więc drugi termin 24 listopada 1979 roku. Minał i ten termin, więc wyznaczono trzeci: 15 grudnia 1979 roku. Minie grudzień i wyznaczy się czwarty termin, któregoś tam stycznia 1980 roku. A korki nadal będą się tworzyć, bo Zakład Gazownictwa ma duże kłopoty a to z rurami, a to z tlenem, a to z acetylenem. Pewnie ludzi mu też brakuje. Więc rozkopana jezdnia przeszkadza w komunikacji w dość ważnym dla miasta ciągu — północ — południe. Wiadomo, że po zamknięciu części ulicy Piotrkowskiej, teraz al. T. Kościuszki spełnia rolę trasy komunikacyjnej w tym rejonie.

Postanowiono więc — jak doniósł „Dziennik Popularny” — „złagodzić trudności”, zakazując skrętu w lewo z al. Kościuszki, czyli w Zieloną oraz przenosząc przystanek linii „K” z al. Kościuszki przy ul. A. Struga na tę ulicę przy rogu ul. Wólczańskiej. Również milicjanci będą regulowali ruchem samochodów w godzinach szczytu. Jest to na pewno jakieś rozwiązanie. A czy nie prościej byłoby zmusić ZG do szybkiego zakończenia prac? Czy rozgrzebywanie ulic na całe miesiące musi być u nas metodą?  
ZYG.

## NIE CI DĄBROWSCY

Nie podejrzewamy autora „Listów do Warszawy” o kompletną ignorancję. W końcu na każdej tabliczce z nazwą ulicy podano nie tylko imię patrona, ale i okres, w którym żył, jak też kim był. Można śmiać się z prób określenia jednym słowem bogactwa różnorodnej działalności wybitnych ludzi, od których nazwisk wzięły nazwy ulic, ale warto czasem rzucić okiem na takie tablice, aby dowiedzieć się, o kogo chodzi.

Otóż plac, przy którym stoi Teatr Wielki, wzięła swa nazwa od Henryka Dąbrowskiego generała twórcy Legionów polskich we Włocławku, o którym śpiewamy w Mazurku zwanym Dąbrowskiego. Generał ów żył w latach 1755-1818. Natomiast ulica wiodąca do wielkiego osiedla Dąbrowskiego, wzięła swą nazwę od Jarosława Dąbrowskiego. Również generała, oficera wojsk carskich później przywódcy lewicy „czerwonych”, bojownika Komuny Paryskiej, który żył w latach 1836-1871.  
P. O. NURY



Rys. Edward Bogdański

